CENA 20 ZŁ

W numerze: Julian Stryjkowski, Stanisław Telega, Krystyna Wryczan

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW — KATOWICE

NUMER 46 (155) | KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 14 LISTOPADA 1948 ROKU | ROK IV

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Czarne skrzydła

Eugeniusz Paukszta, autor pierwszej repatrianckiej powieści „Trud ziemi nowej", w nowej swej powieści „Trzecia zmiana", której fragmenty drukujemy poniżej, zajmuje się światem hutniczym.

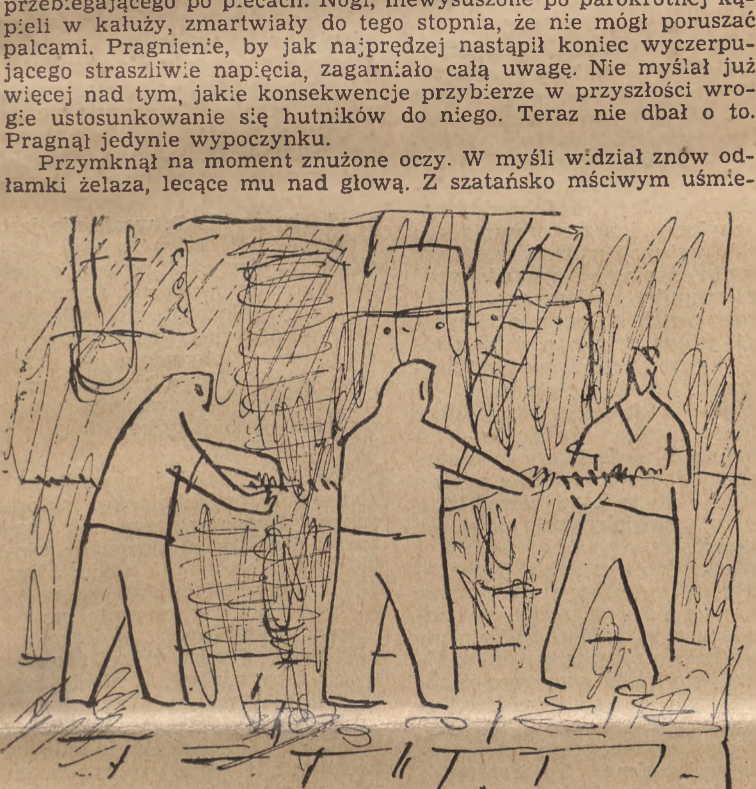
Przeczucie go nie myliło. Przez cały czas wyczuwał instynktownie, że wypadkom nocy dzisiejszej nie nadszedł jeszcze koniec, że czeka wiele nowych momentów groźnych, decydujących. To wewnętrzne przekonanie nabrało bez mała cech pewności, gdy we wrogim, lufą rewolweru jedynie utrzymanym w posłuchu tłumie dostrzegł niepojęte dlań porozumiewawcze spojrzenie, ironiczne uśmiechy, poszeptywania. Czy nie miały one związku z oddaleniem się majstrów maszynowych i pomocnika? Czy nie będą próbowali przez któreś z otwartych okien dostać się do środka? Po zastanowieniu odrzucił tę myśl. Chcieli przecie ratować kolegę. Okna były położone wysoko. Gdyby się nawet wdarli przez nie do środka, sami już nie mogli mieć nadziei na łatwe wydostanie się co dopiero z ewentualnie odnalezionym towarzyszem.

A jednak, wyczuwał, że to właśnie odejście maszynistów pozostawało w związku z narastającym niepokojem, z ponurą, na pozór niczym nieudowodnioną świadomością, że jeszcze coś się zdarzy, że może już się dzieje, gdy on nie ma możności przeciwdziałania. Stoi tu bezradny, a rozgrzana rękojeść rewolweru parzy go w dłoń.

Wróciły wyrzuty sumienia, Może jednak naprawdę zaniedbał Miszkola. Może istniała jakaś szansa uratowania chłopca, a on ją zaprzepaścił...

Znękany wysiłkiem fizycznym i duchowym chwiał się na nogach. Dłoń kurczowo zaciskał na stali broni, nogi przytulił kolanami do siebie, by opanować ogarniające go drżenie ciała. Wzmagający się nad ranem chłód jesienny dawał też znać o sobie dreszczami ziąbu, przebiegającego po plecach. Nogi, niewysuszone po parokrotnej kąpieli w kałuży, zmartwiały do tego stopnia, że nie mógł poruszać palcami. Pragnienie, by jak najprędzej nastąpił koniec wyczerpującego straszliwie napięcia, zagarniało całą uwagę. Nie myślał już więcej nad tym, jakie konsekwencje przybierze w przyszłości wrogie ustosunkowanie się hutników do niego. Teraz nie dbał o to. Pragnął jedynie wypoczynku.

Przymknął na moment znużone oczy. W myśli widział znów odłamki żelaza, lecące mu nad głową. Z szatańsko mściwym uśmie-



Rys. Lucyna Wranik

chem wyrzucał je ładowacz w czapce nasuniętej na oczy, niedoszły morderca towarzysza przy wagonetce. Korczak w obawie ciosu przechylił głowę i zaraz w tejże samej nieomal chwili podniósł ją. Zaszumiało gwarem w gromadzie stojącej przed nim. Zbliżała się załoga piecowa.

Inżynier otworzył oczy.

— Nie ma żelaza nad głową — błysnęło stwierdzenie faktu.

Razem wróciła pełna świadomość. Próbował odgadnąć, czy „herta" też odniesie się do niego wrogo, jak tamci. Był z nimi najbardziej zżyty...

Nad uchem ktoś szeptał. Skupił się w słuchu i pojął pośpiesznie rzucane słowa wcześniej, nim rozpoznał twarz wąsatego hutnika. Przejęły go do głębi.

Zadecydował, rzucił rozkaz...

Świadomość decyzji nurtowała w nim złowrogim, ponurym tętnem. Jakby ktoś inny, nie on sam zmagał się z powstrzymującym go i ofiarującym się całopalnie Gardochem, jakby cudze dłonie opinały go sznurem w pasie, jakby obce nogi niosły do wnętrza, nie własne usta wydawały polecenia. Wszystko co czynił i mówił było spokojne, opanowane, ale jednocześnie nieświadome, instynktowne. Znajdował się jak gdyby w transie, poddany czyjejś obcej, sugestywnej woli.

Ocknął się w momencie,gdy oczy napotkały przed sobą złowrogą ciemność. Kurczowo zacisnął nabrzmiałe od szeroko zaczerpniętego powietrza policzki, unieruchomił nos. Wiedział, że każdy oddech, choć najlżejszy, to perspektywa śmierci. A on musi żyć. A przedtem musi odnaleźć tamtych zapaleńców.

Umysł Korczaka pracował teraz z chłodną, wykalkulowaną rozwagą. Obliczał każdy krok, doceniał wagę każdej sekundy. W pamięci próbował odnajdywać topografię hali. Tu wkrótce będzie stopień. Za nim o parę metrów na prawo i lewo maszyny. Trzecia, nieruchoma, w głębi. Za nią walce gazowe, pnące się do stropu.

Powoli, jak człowiek nagle oślepły posuwał nogę za nogą, dygocąc w podnieceniu. Rozpoczął potężną, najpoważniejszą w życiu grę ze śmiercią. Był z nią twarz w twarz. O wiele, wiele słabszy od niej. Możliwość wygranej zależy od siły rozsądku, siły woli i... siły płuc.

Cementowa posadzka wydawała szurgocący, chrzęstliwy odgłos. Rósł on, olbrzymiał w wielkiej przestrzeni hali maszynowej, wracał echem, szyderczym, złowrogim...

Potknął się o stopień. Otworzył usta, omal nie wciągnął w płuca zatrutego powietrza. Podniósł prawą nogę, ciężką, jeszcze z większym wysiłkiem dźwignął lewą. I znowu krok za krokiem parł przed siebie. Rozsądek mówił, że wkrótce zabraknie mu tchu, że powinien natychmiast wracać. Jednak nieprzeparcie szedł naprzód. Myśl pracowała gorączkowo. Stopień nie znajdował się dalej niż dziesięć metrów od wejścia do hali. Tamci wdarli się bocznymi drzwiami. Nie wiadomo, czy dali radę dobrnąć aż tutaj. Myślał i brnął dalej ruchem ciężkim, niezgrabnym.

W płucach dławiło go. Nabrzmiewały, groziły zakrztuszeniem.

— Zawrócę — przemknęło przez myśl — po nowy zapas powietrza.

Zakręcił, w tejże chwili potrącił nogą o coś miękkiego. Pociągnął stopą, wzdłuż napotkanego przedmiotu. Tak, to był człowiek...

Ściskając zęby, przechylając się, zniżył ku ziemi omdlałe ręce. Macał nimi, szukając ramion leżącego. Dłoń przesunęła się po oślizgłych wargach, potem po guzie. Poznał Ziołka.

Kurczowym chwytem ułapił leżącego pod ramiona. Ciągnął za sobą. Stary był ciężki, potwornie ciężki. Korczak słaniał się za każdym ruchem, znów skupiał wolę i ciągnął, ciągnął...

Z rumorem i stukotem zjechało ciało Ziołka ze stopnia. Chrzęściło głucho po cementowym podkładzie.

Korczakowi zawirowało przed oczyma. Tępy, głuchy ból rozsadzał czaszkę. Ręce i nogi ciążyły jak bryły żelazne.

Przed nim, w oddali, zamajaczyła nieco jaśniejsza plama drzwi.

Szarpnął Ziołkiem, raz, drugi, trzeci jeszcze. Był coraz bliżej...

Ale i płuca nie miały już sił. Tętno biło skokami, wariacko, gwałtownie.

Upuścił omdlałego i zataczając się, zgięty w pół, dobrnął już sam do drzwi. Spragnione płuca zachłannie chwytały powietrze. Oczy wyszłe nieomal z orbit patrzyły przerażone wysiłkiem. Ręce drżały jak w ataku febrycznym.

Oparł się o ścianę.Stał, ciężko dysząc. Świadomość wracała powoli.

Widział, jak Gardoch i młody Gejgal skoczyli do środka hali. Za moment ukazali się, ciągnąc ciało maszynisty.

Sanitariusz podsunął mu pod nos flaszeczkę z mocną, orzeźwiającą wonią. Korczak wdychał chciwie, szerokimi, łapczywymi haustami. Lewą dłoń przyciskał do serca, niespokojnie walącego, zdającego nie mieścić się w ciasnej przestrzeni ciała.

Niecierpliwie wetkniętą flaszeczkę ujął silnie, kurczowo i łzawiąc się, parskając, nie odrywał jej od nosa. Sanitariusz tymczasem pochylał się nad leżącym opodal bezwładnie Ziołkiem.

— Nieście go prędko do ambulansu i niech któryś dzwoni po pogotowie. Ja zaraz przyjdę.

Zbliżył się do inżyniera, wracającego powoli do siebie. Pierś tylko podnosiła się mu gwałtownie, na czoło wystąpiły krople potu.

— Nie wiem czy z niego co będzie.

Pokręcił w podziwie głową.

— Ale z pana to wariat — dorzucił ze zdziwieniem.

Chwilę stał jeszcze milcząc i obserwując twarz Korczaka. Tknięty przeczuciem, upewniał się.

— Więcej już pan tam nie pójdzie? I tak cud, że wyszedł pan żywy...

Korczak skłonił głowę.

— Pójdę za chwilę — wyrzucił stanowczo, nieodwołalnie.

Tamten chciał jeszcze coś mówić, ale wyraz oblicza inżyniera przekonał go najwyraźniej. Wyjął flaszeczkę z ręki Korczaka, podał najbliżej stojącym.

— Zakorkujcie i jak trzeba podajcie od razu. Gdyby coś się stało, nieść chorych do mnie, do ambulatorium.

Inżynier chciwie wdychał powietrze. Stojący obok Gardoch wpatrywał się weń z niemym uwielbieniem. Reszta stała w milczeniu, z odkrytymi głowami, zdjęta najgłębszym szacunkiem i podziwem. Milczenie to było aż nadto wymowne, by nie zwrócić uwagi Korczaka. Spojrzał na ludzi stłoczonych przed nim i uśmiechnął się.

Wtedy oni schylili głowy. Pamiętali własne zachowanie sprzed kilku minut. Sumienia ich dygotały niepewne, zawstydzone dogłębnie. W czyichś oczach zaszkliły się w mdłym blasku latarni duże łzy. Chwilę drgały na rzęsach, a potem powoli opadły i bruzdami pomarszczonej twarzy spływały w dół policzków.

Gdyby kazał im teraz pójść ze sobą, uczyniliby to bez wahania...

Korczak wyprostował się, wciągnął raz jeszcze i drugi łyk powietrza i cicho wyrzekł:

— Trzeba iść...

Najbliżsi dosłyszeli, dalsi zrozumieli, skłonili wszyscy głowy w milczeniu.

Zachłannie, jak najgłębiej, najwięcej, chwytał Korczak w płuca zapas powietrza. Wtedy zdecydowanie zagłębił się w rozwartą, złowrogą ciemność.

Z innym uczuciem stawiał ponownie kroki po cementowej polepie. Przedtem uświadamiał sobie tylko prawdopodobieństwo śmierci. Obecnie istniała nieomal jej pewność przy jednym nieostrożnym wysiłku, zbędnym ruchu, fałszywego o sekundę obliczenia własnej wytrzymałości.

Upiornym, koszmarnym rechotem rozchyliła się w ciemni twarz starego Ziołka. Korczak wzdrygnął się i zamachał ręką. Przecie wywlókł maszynistę z hali i sanitariusz kazał go przenieść do ambulatorium. Tak, ale jednocześnie dał do poznania, że nie ma nadziei przywrócenia go życiu. Do ambulatorium zaniesiono tylko zewnętrzną, cielesną formę tego, co jeszcze przed kwadransem było Ziołkiem. Ale on sam, treść jego istotna, czy nie krzywi się tutaj właśnie do niego, nie śmieje z naiwnych prób ratowania tych, co i tak już przecie odeszli. A może go przyzywa do siebie...

Z lękiem oczekiwał ponownego ukazania się wykrzywionej twarzy starego. Ale wokół dudniła tylko cisza przerywana jego krokami, a przed zbolałymi, zmęczonymi oczyma rozwierała się nieodganiona ciemność zagazowanego wnętrza.

— Halucynacje. Chory jestem czy co — przemknęło trwożne pytanie i zaraz znów odbiegło w niepamięć.

Korczak skupił się w sobie. Przecie szedł niemal pewnie w objęcia śmierci, a nie chciał się jej poddać, nie chciał podzielić losów Ziołka i pewnie tych pozostałych, których szuka teraz. Musiał przetrzymać tę najmocniejszą może z dotychczasowych próbę życiową — i dosłowną i w przenośni. Musiał zdać ten największy egzamin.

Powtarzał sobie w duchu to — muszę, muszę, muszę, podczas gdy nogi sunęły równo, miarowo po posadzce. Lina, zdająca się nadludzkim ciężarem, obijała mu się z tyłu u nogi. Ale też i była ona wyraźną, wyczuwalną więzią, łączącą go z życiem. Tam u jej końca czujny, z niepokojem wpatrzony w ciemność, stał majster Gardoch. Przy nim inni. Gdy upadnie, lina szarpnięciem da o tym znać. Wyciągną go wtedy, może zdążą odratować...

Skierował się w lewo. Ziołka znalazł u stóp prawej maszyny, naturalną więc była próba szukania pozostałych po stronie przeciwległej. Niewątpliwie, wbiegając do wnętrza, musieli uzgodnić z sobą, że szukać będą Miszkola w różnych punktach hali. Za tym ich przypuszczalnym rozumowaniem musiał i on nadążać.

Jak przez mgłę przypominał, że tutaj gdzieś leżały zapasowe tłoki i inne części niedbale rozrzucone. Miał zamiar zwrócić na to uwagę i kazać uporządkować. Należało uważać, by się gdzieś między nimi nie uwikłać. Lina łatwo mogłaby się zaczepić o jakąś wystającą część. Wtedy zginęłaby w razie wypadku nawet ta ostatnia szansa ocalenia.

Ręką pomacał koło pasa, stwierdzając obecność sznura, jak gdyby sam jego ciężar nie wystarczał dla upewnienia o istnieniu zabezpieczenia.

Uczuł zawrót głowy. Powietrza w płucach zaczynało brakować. Skronie pulsowały, jak gdyby młotem żelaznym z rozmachem uderzał ktoś w czaszkę. Z nosa coś mokrego spływało na brodę. Nie potrzebował dotykać. Wiedział — krew. Zdławione, ściśnięte naczynia w ten sposób reagowały na brak powietrza. Ręce i nogi zaczęły słabnąć z każdą chwilą i nie mógł opanować febrycznego ich drżenia. Szurając wokół, powoli, niezręcznie nogami, półprzytomny, szukał jednak dalej. Lina złowrogo otarła się z tyłu. Widocznie okrążył jakąś wystającą część maszyny, a potem skierował się zanadto w prawo. Wyciągnął dłoń ciężką, jakby obumarłą i dotknął chłodnej, wypolerowanej powierzchni. Tak, maszyna. Znów zrobił dwa kroki w bok. Szedł, a raczej pełzał już tylko siłą inercji własnym rozpędem. Przytomność zatracała się w nim z każdą chwilą.

Zachwiał się, zatrzepotał ramionami. Natrafił na człowieka leżącego bezwładnie na ziemi. Schylił się, chwycił obcą nogę, kurczowo wczepił się w nią obu palcami. Szarpał sobą i tym drugim, nieświadomy tego, co robi, kierowany jeszcze działającą intuicją, niewygasłym dotąd instynktem życia.

Szarpnął znów, ale ciało tamtego ledwo drgnęło z miejsca, a Korczak omal nie runął przez nie. Szarpnął jeszcze raz i niezgrabnie, bezsilnie potknąwszy o własne nogi, zwalił się prosto na ratowanego, wgniatając dłoń w miękką, uginającą się twarz.

Próbował jeszcze dźwignąć się, jeszcze zaciskał usta, jeszcze tamował oddech, ale czuł, jak opuszcza go przytomność.

Silne, mocne szarpnięcie omal nie oderwało go od maszynisty.

— Lina — drgnęło w umyśle. Ostatkiem sił i przytomności, kurczowo, nierozerwanie zacisnął ręce na nodze Wawrocha.

Nie wytrzymał. Lecąc w jakąś przepaść, jak przez sen czuł tylko, że płuca jego żarłocznie, zachłannie napełniają się powietrzem hali.

Dwa ciała, szczepione silnie jedno z drugim, sunęły z chrzęsem po cemencie, ciągnione na linie...

Korczak w pewnym momencie drgnął, zaszamotał się, podniósł na kolana. Chciał przyciągnąć ku sobie ręce, ale ktoś trzymał je w drapieżnym, szaleńczym uścisku...

I znów wszystko pogrążyło się w niepamięć.

Na zewnątrz, z nogami wspartymi o kant muru przy bramie, Gardoch i inni, kto tylko znalazł skrawek wolnego miejsca do uchwycenia na powierzchni liny, z wysiłkiem ciągnęli do siebie człowieka. Tego, którego odsądzili od człowieczeństwa, który ich potem zawstydził na całe chyba życie.

Czuli, jak w pewnym momencie u niewidzialnego końcu sznura zadrgało coś raz jeszcze, zaszamotało. Lina na moment zelżała, by zaraz wyciągnąć się znowu w grubą, potężną strunę.

Żyły nabrzmiały na czole Gardocha. Pot zalewał twarz. Zdołał jednak dojrzeć tuż opodal drzwi czerniejącą w mroku masę. Skinął za siebie na innych i skoczył do środka. Chwycili w kilku inżyniera, ze zdumieniem spotrzegając, że nie jest on sam, że rękoma wczepionymi w spodnie kombinezonu ciągnie za sobą drugiego.

Wynieśli ich na zewnątrz sczepionych ze sobą. Próby rozluźnienia uchwytu dłoni Korczaka nie dały rezultatu. Tak więc jak byli złączeni, podsuwano im pod nos flakoniki ze środkami cucącymi.

Hutnicy skupieni dokoła zwartą, ściśnioną grupą, z odkrytymi głowami, z bólem i niewiarą w sercu spoglądali na próby ratowania. Wawroch, on to był bowiem, leżał podobny do wyciągniętego uprzednio z hali Ziołka, tak samo nie reagując na pierwszą pomoc. Nie reagował też i Korczak.

Przez tłum przepychali się ku leżącym dwaj inżynierowie, ściągnięci na hutę ogłoszonym alarmem.

W tym momencie Korczak drgnął. Ręce zwolna rozluźniły się na ubraniu Wawrocha. Ktoś szybko, w obawie przed nowym kurczem, wysunął szorpatą materię spomiędzy obrzmiałych palców.

Przez tłum przebiegł podnieceniem radosny szmer:

— Żyje, żyje...

— Albo kona — ponurem szeptem zaprzeczył któryś ze sceptyków.

Korczak przymknął oczy, ale za chwilę znów je otworzył. Zobaczył leżącego obok Wawrocha. Schylający się nad nim Gardoch usłyszał, albo wyczuł raczej, jakby z innego świata szept.

— A tamci?...

— Będą, będą, jest już tutaj i pan dyrektor...

Ostatnich słów inżyniera już pewnie nie słyszał. Oczy zawarły mu się silnie. Dłoń raz jeszcze kurczowo próbowała uchwycić ziemię. Na sole rzeźwiące nie reagował więcej.

Obu zatrutych złożono na nosze i ponury kondukt ruszył w stronę hutniczego ambulatorium.

Gardoch szedł obok ze łzami w oczach. Głowę zwiesił, pilnie wpatrując się pod nogi, jak gdyby szukał czegoś na ziemi.

Z tyłu dobiegły go słowa zastępcy dyrektora huty, inżyniera Osoczka:

— Powiedzcie, żeby alarmowano o przyjazd pogotowia...

Majster rad był z przybycia zwierzchników. Dopilnują porządku. Jeden Korczak nie mógł dać rady, nie usłuchali go, i ot, co wyszło. Miał on, choć taki młody, rację. A jak potem ratował, nie pamiętając o sobie. Żeby to tylko nie było dla nich i dla niego na próżno...

Cicho jakoś, niecodziennie zrobiło się na obszarze huty. Wiele dźwięków! ucichło, pozostałe mniej ostro szarpały powietrzem, szanując jak gdyby nastrój grozy i śmierci, który roztoczył władztwo nad terenem.

Szyny kolejki pobłyskiwały tęskno a słabe światła dalekich lamp kołysały się rytmicznie, raz po raz rzucając nikły odblask na ścianę magazynu.

Gardoch westchnął nabożnie w momencie, gdy przechodzili pod mostkiem, z którego niedawno ujrzał Czarnego. Splunął sobie pod nogi.

Ostrożnie, starając się nie zruszyć poziomego położenia noszy, wstępowali hutnicy na stopnie wiodące do ambulatorium.

*

Chłodny wiatr, niosący rozpylone krople dżdżu uderzał w twarze. Niebo znowu zaciągnęło się chmurami, znikły przeświecające przed tym gdzieniegdzie gwiazdy i mdła ponurość nasiąkła wilgocią późnej jesieni pokładła się nad hutą. Przyćmione, zalęknione jakby światło lampy chwiejnymi pasmami przy każdym mocniejszym porywie wiatru przesuwało się po twarzach hutników. Na twarzach tych malowała się tępa, melancholijna rezygnacja. Dogłębne znużenie przeglądało z ostrzej teraz niż zwykle zarysowanych zmarszczek, z opadnięcia nabrzmiałych powiek, z przygarbienia wreszcie całej postaci.

Wyrwani z normalnego nurtu wytężonej, ale ukochanej przez się pracy, przez nią samą teraz pośrednio skrzywdzeni, zdawali się być w tej chwili zupełnie innymi ludźmi, niż zazwyczaj. Między nich a uparty trud hutniczy weszła nieubłagana śmierć. I choć ją czuli w pobliżu siebie zawsze, choć każdy spust, każdy nowy ładunek piecowy, każde niedopatrzenie mogło ją przywołać — to jednak, mimo to, a może tym bardziej dlatego — każde jej zwycięstwo było dla nich ciosem, podważeniem wiary we własną siłę.

Zawieszeni stale pomiędzy własnym, hutniczym bytem, a jego gwałtownym nie przewidzianym ucięciem, dopiero w obliczu pełnego, realnego chłodu mocy, to cięcie wykonującej, wmyślali się w istotną treść swoich dni. I jakakolwiek ta ich analiza duchowa nie była, jakim zgrzytem i rozterką nie najeżona, w wyniku dochodzili tylko do pogłębienia przeświadczenia, że nie tylko obecność śmierci nie odrywa ich od swego zawodu, ale przeciwnie, łączy z nim jeszcze silniej. Tak naprawdę właśnie na śmierć i życie...

Huta stała w tej przedrannej godzinie chmurna, ponura. Mogłoby się zdawać, że nagrzewnice, piece i podnośniki tak jak obsługujący je ludzie przystały na moment w pracy, by skłonić się w milczeniu tym, którzy od nich na zawsze już odeszli. Posępną, ciągłą linią kładły się cieniem jednolitym, zrównanym z cieniem nocy, na wolne place, na tory, złoża namiaru w magazynach, na puste w tej chwili kadzie, wagoniki, na złomy wytopionego żelaza.

Od strony windy wyciągowej nie dochodził normalny drzazg i jazgot. Nie przetaczały się teraz ze zgrzytem ciężaru wózki po płytami żelaza wykładanej nawierzchni, próżne nie wracały z frywolnym poświstem. Zamilkł świegotliwy poszum prażonego w nagrzewnicach powietrza. Nawet dźwig magnetyczny, łapczywie chwytający złomy żelaza, nie dzwonił łańcuchami, przesuwając się pod stropem hali odlewniczej, a zamilkł, pokorny, skulony zwisł nad pustym cielskiem też nie czekającego teraz na napełnienie wagonu. Wielkie piece tylko zawodziły smętną piosenką, osłabłych, zduszonych w chuci nienasyconej płomieni, a masa roztopionej we wnętrzu surówki uspokojona, kładąc się jedną taflą we wnętrzu, tuliła ucho do ściany pieca, by dowiedzieć się czemu życie wokół zamarło. Plusk wody, chłodzącej pancerz też ucichł i splatał się w jedną melodię ze szmerem niesionych przez wiatr kropli dżdżu.

Tylko od strony stalowni szedł ruch ten sam, ta sama gama dźwięków niosła się w powietrzu i wyraźniej, dobitniej niż kiedy indziej dobiegała pod wielkie piece, pod halę maszynową i pod



Rys. Lucyna Wranik

schodki wiodące do izby felczerskiej. Nawet w walcowni bowiem, przed stalownią leżącej i swym drzazgiem pół stalowych głuszącej inne odgłosy, praca osłabła i wydźwięk jej rzadko jedynie zamącał spokój.

Stojący obok Gardocha garowy z trzeciego pieca szepnął ni to do siebie, ni to do innych.

— Huta tyż cierpi...

— Bo my cierpimy a ona i my to jedno — dodał drugi.

— Choćby i przez śmierć, jak dzisiej...

Gardoch milczał. Wspomniał w tej chwili Ziołka. Był wśród nich najstarszy. Praktyk stary, wyjadacz jakich mało. Tyli świata kęs zwiedził, w tylu werkach pracował. I na hucie skończył swój żywot. Nawet go do szpitala nie dowieźli. Pewnie i nie byłby z tego rad. A tak, zmarł przy swojej maszynie.

W ten osobliwy nastrój czworga prostych, szarych ludzi z huty wdarło się gwałtowne, ostre trzaśnięcie drzwiami. Wybiegający sanitariusz, w rozwianym swym białym kitlu, z apteczką pod pachą, wpadł na jednego ze stojących. Zatrzymał się zdziwiony, a poznając ludzi z noszami, zakrzyknął gniewnie:

(Dokończenie na stronie 2 i 3)

Ku lepszej przyszłości

(pk) Przesunięcia, jakie ze względów ideologicznych dokonane zostały w partiach robotniczych, wywarły pewien wpływ na jeden zwłaszcza odcinek życia Ziem Odzyskanych, na jej praktyczną problematykę ludnościową, ściślej mówiąc na stosunek do ludności rodzimej. Idea bez moralności nic nie znaczy, wołał gromkim głosem prorok litewski Adam Mickiewicz ze swojej paryskiej katedry w wykładach o literaturze słowiańskiej. Jeśli niemoralny a w każdym razie powierzchowny lub podlegający różnym wahaniom jest stosunek do pewnej ideologii, powiedzmy w tym wypadku partyjnej, cierpi na tym także dziedzina ogólnej moralności człowieka, następuje stępienie bodźców szlachetnych. Szczery stosunek do pewnej ideologii politycznej gwarantuje równie szczery i uczciwy stosunek do różnych praktycznych zagadnień życia politycznego, gospodarczego i społecznego.

Ludność rodzima Ziem Odzyskanych coraz mocniej wiąże się z kulturą polską i z nową polską rzeczywistością. Jeszcze tylko nieuczciwość niektórych urzędników administracyjnych, która niewątpliwie prędzej czy później będzie dostrzeżona i przykładnie ukarana, przerywa ów skuwający się silny łańcuch wspólnoty. Widoczne to jest najczęściej przy sprawie, która wymaga szczególnej uczciwości i szczególnej delikatności i znajomości sprawy w osądzaniu przynależności narodowej, mianowicie przy sprawie wysiedlenia resztek ludności niemieckiej. Obawa, o błąd lub złą wolę urzędnika, zajmującego się daną akcją, hamująco wpływa na nieprzerwany proces repolonizacyjny, na utrwalanie się związków wspólnoty. Ale i na tym polu nadużyć jest coraz mniej.

Natomiast po stronie zysków widzimy narastające pozycje. Wielką rolę spełniło tu Szkolnictwo wszelkich typów. Przy tym warto wspomnieć o Uniwersytetach Ludowych, których familijna atmosfera sprzyjała szczególnie pierwszym próbom wiązania się z Polską młodzieży, germanizowanej uparcie i konsekwentnie przez szkołę niemiecką. Najmniejszą rolę wypełniła prasa. Przyczynił się do tego, fakt, że nie było prasy dla autochtonów a jedyne pismo, w tym celu stworzone, poszło w kierunku kiepskiej prowincjonalnej gazety, przynosząc spóźnione wiadomości agencyjne zamiast artykułów problemowych o znaczeniu wybitnie specjalnym dla środowiska autochtonicznego. Książka, tam gdzie dotarła, dobrze spełniła swój obowiązek. Trzeba jednak przyznac, że docierała do niewielu miejsc, będąc co naj mniej tak rzadkim gościem jak dobry teatr. Olbrzymia była rola radia. Pod tym względem spisała się zwłaszcza dobrze radiofonia przewodowa, która w pracy repolonizacyjnej oddać może doraźne ważne usługi. Niestety programy radiowe podobnie jak prasa podkreśliły swą absencję w kręgu specjalnej problematyki i tematyki.

W pojęciu przeciętnego Polaka zatarły się już różnice między dwoma wielkimi grupami ludności Ziem Odzyskanych. Różnice widoczne są jeszcze tylko w terenie a silnie występują tylko w wypadku błędnej zarówno politycznie jak i ideologicznie roboty jakiegoś nieuczciwego urzędnika. Oczyszczanie szeregów partii na Ziemiach Odzyskanych dzieje się również w znaku wyrównania spraw ludnościowych, w znaku wspólnej miary dla całej ludności. Jeśli opuszczający szeregi partyjne dygnitarze okazują się potem, gdy pozbawieni są już władzy i robotnik ma wgląd do ich biurek, krzywdzicielami ludności rodzimej, to znaczy, że odchylenie prawicowe lub obcość klasowa równoznaczne są najczęściej ze stępieniem pewnych moralnych bodźców, które na terenach odzyskanych bardzo często zastępować muszą programy lub prawo.

Co robią Niemcy?

Ponura kronika — Problematyka moralna pochodnią problemów politycznych — Podręcznik prasy niemieckiej

Od pewnego czasu zaczynam lekturę dzienników niemieckich od kroniki miejskiej. Prócz wiadomości o odbudowie, o przydziałach środków żywnościowych znajduję tam wydarzenia typu kryminalnego, w których współczesne życie niemieckie odzwierciedla się z całą ostrością. Raz po raz poważniejsze pisma komentują tę ponurą kronikę, z dnia na dzień obfitszą, krzycząc tytułami: Die Moral des Volkes sinkt! Oto porcja z ostatnich dni.

Kierownik wyżywienia dla szkół w okręgu Steglitz kradł uczniom z teczek żywność. — Günter T., liczący zaledwie lat 16, wrócił niedawno z niewoli. Przytrzymany na wolnym rynku przyznał się, że od pół roku zarabia codziennie żebraniem i drobnymi kradzieżami od 100 do 150 marek. — Pomocnik pocztowy urzędu pocztowego Tegel ukradł w ciągu trzech miesięcy 150 paczek pocztowych. — W mieszkaniu pewnego berlińskiego szabrownika znaleziono towary i produkty żywnościowe, częściowo w stanie zepsutym, stanowiące zawartość ośmiu wozów. — 19-letni Otto B., pragnąc okraść 80-letnią staruszkę, uderzył ją toporem w głowę. B. stracił w kwietniu 1945 podczas ataku bombowego oboje rodziców. — 32-letnia Maria S. pchnęła do wody wracającą do domu ze sprawunkami 9-letnią córeczkę sąsiadów, zabierając jej najpierw teczkę z zakupami. Dziewczynka utonęła. Łupem zbrodniarki padł półkilowy bochenek chleba, 20 deka margaryny, dwie cebule i ćwierć kilo kaszy. — Były wyższy urzędnik radiowy uzyskał na podstawie sfałszowanych dowodów w Wirtschaftsamcie 25 aparatów radiowych, które sprzedał na wolnym rynku. — Po raz dwunasty upomniana została przez policję 35-letnia kobieta, włócząca się po wolnym rynku, bez stałego zamieszkania, żyjąca z przygodnych męskich znajomości. — W czasie obławy na dworcach berlińskich policja obyczajowa żeńska odprowadziła na odwach 430 dziewcząt w wieku od lat 12 do 29. 364 z nich były chore wenerycznie. — W okręgu Wedding w czasie szkolnych badań lekarskich u czternastu uczennic stwierdzono początki ciąży. — W zamian za papierosy, środki żywnościowe i czekoladę pewna matka stręczyła swą 13-letnią córkę żołnierzowi amerykańskiemu, którego kochanką sama była.

Rejestr mógłby się powiększyć, gdybyśmy go uzupełnili o sprawy mniej ważne, o te tysiące oszustw, kradzieży, o normalne w każdym wielkim mieście fakty nierządu ulicznego. Już jednak ta lista, wynotowana z dzienników berlińskich w ciągu trzech dni zaledwie, daje nam pewne wyobrażenie o rozwoju gangreny. Czy są środki obrony i czy się je podejmuje? Oczywiście. Ale tu właśnie zaczyna się kabała polityczna. Walka o rozwinięcie we współczesnym człowieku niemieckim dobrych ludzkich cnót przeniesiona zostaje na platformę walki politycznej, gdzie problematyka moralna jest pochodnią problemów politycznych.

Dla nie znającego życia niemieckiego w jego zaskakujących zawiłych szczegółach takie drogi wychowania mogą się wydać dziwne. W Niemczech jednak ów wzajemny stosunek polityki i moralności publicznej nikogo już nie dziwi. Zresztą jeśli o rzeczy dziwne chodzi, to widzi się je w niejednej dziedzinie życia. Gdy przeglądamy niedawno wydany Handbuch der deutschen Presse, który po pięcioletniej przerwie wyszedł jako rocznik 62, napotykamy raz po raz na rzeczy dziwne. Oto spośród przeszło trzech tysięcy gazet i czasopism, wydawanych w 670 miejscowościach, aż 11 poświęconych jest np. łamigłówkom, z czego takie „Köpfchen, mein Lieber" ma aż ćwierć miliona nakładu. Przy okazji warto się w ogóle bliżej przyjrzeć obrazowi prasy niemieckiej. Uderza przede wszystkim brak starych tytułów lub też brak ich popularności, o ile pojawiły się na nowo, co prawda w znikomej zupełnie ilości. Berlin wypuszcza w sumie 18 dzienników, z których dwa mają nakład ponad milionowy. Niespodzianką jest fakt, że satyryczne pismo „Frischer Wind", w pewnym sensie odpowiednik naszej przedwojennej „Muchy" w typie humoru i sposobie redagowania, osiągnął nakład prawie miliona egzemplarzy, bo aż 900.000. Sytuację gospodarczą charakteryzuje fakt istnienia zaledwie dwóch czasopism poświęconych budownictwu mieszkalnemu i osadnictwu. Za to ukazuje się 13 pism filatelistycznych a 11 dalszych zapowiada w roku bieżącym i przyszłym swój żywot. Osiedleni na terenie Bawarii uchodźcy i bezpaństwowcy mają własny organ w „Lichtblicku", wydawanym w nakładzie 50.000 egzemplarzy. Z pism społeczno-literackich „Aufbau" ma nakład ponad stutysięczny, inne utrzymują się na podobnej wysokości. Trzeba przyznać, że stosunkowo małe nakłady pism literackich wynikają stąd, że dzienniki niemieckie poświęcają codziennie wiele miejsca literaturze i jej sprawom, zaspakajając potrzeby czytelnika niemieckiego pod tym względem prawie całkowicie.

Największy w ogóle nakład posiada „Bund", organ związków zawodowych w strefie okupacyjnej brytyjskiej, bo bije aż 1,7 miliona egzemplarzy. Pierwsze powojenne pismo urodziło się w Akwizgranie „Aachener Nachrichten". Pozwolenie na rozpowszechnianie zagranicą jako pierwszy otrzymał „Wiesbadener Kurier". Niektóre pisma, zwłaszcza organy partii komunistycznej w strefach zachodnich, mogłyby posiadać o wiele większy nakład, gdyby nie specjalne restrykcje papierowe. I tak dortmundzkie „Westdeutsches Echo" zamiast poprzednich 234.000 może wydawać jedynie 55.000, dusseldorfska „Freiheit" zamiast 169.000 tylko 69.000, „Kölner Volksstimme" traci także w ten sposób około 22.000 egzemplarzy na każdym wydaniu.

Obraz prasy niemieckiej powojennej nie odzwierciedla całkowicie zainteresowań czytelnika niemieckiego. Istnienie wielu pism zależne jest raczej od odpowiedniej koniunktury politycznej. Również i cyfry nakładu mogą w ten sposób mylić. Na rozpowszechnienie danego pisma bowiem działa nie tylko jego popularność, ale i takie czynniki jak propaganda, taniość, atrakcyjność typu redakcyjnego, zależność polityczna. Niemniej lektura owego podręcznika prasy niemieckiej pozwala na wyciągnięcie rozmaitych ciekawych wniosków, zasługujących zresztą na szersze omówienie przy innej okazji.

WISZ



W maju 1933 na placach Berlina palono książki, które barbarzyński hitleryzm uznał za szkodliwe. Ministrowie przemawiali przy ogniskach i uzasadniali konieczność takiego właśnie niszczenia książek.



W październiku 1948 place berlińskie znów ujrzały ogniska. Tym razem w zachodnich sektorach Berlina szowinistyczne grupy Niemców paliły wydawnictwa niemieckie wychodzące w sowieckiej strefie okupacyjnej. Prasa niemiecka opatruje oba obrazki wymownym tytułem: Ta sama metoda — ten sam cel.

JULIAN STRYJKOWSKI

Realizm społeczny

Odwiedziny w Teatrze Małym w Moskwie

Po dziś dzień artyści nazywają Teatr Mały „uniwersytetem". Nazwa ta pochodzi jeszcze z drugiej połowy XIX wieku, kiedy młodzież uniwersytecka i postępowa inteligencja grupowała się wokół teatru i jego artystów, chłoniąc nowe myśli i idee, tępione przez carat. Tu podziwiał Stanisławski, młody, rozpoczynający dopiero pracę artysta, realistyczną tradycyjną szkołę genialnego aktora i reżysera Szczepkina, tu wychowała się cała plejada znakomitych aktorów, z których Moskwa jeszcze żywo pamięta Leńskiego, Jużyna, Leszczkowską, Fiedotową, a przede wszystkim wielką Jermołową.

Ale był to uniwersytet nie tylko dla artystów i reżyserów. Całe pokolenia zdobywały w nim wiedzę, jakiej nie mogły dawać ówczesne oficjalne katedry ani podręczniki: zdobywano tam wiedzę o sobie, prawdę o własnym społeczeństwie.

Na deskach Teatru Małego pojawiła się po raz pierwszy galeria typów moskiewskich kupców, obrastającego w pierze mieszczaństwa, podupadającej i ustępującej miejsca burżuazji — arystokracji rodowej. W świetle rampy ukazał się mechanizm walki społecznej, jak go pojmowała komedia Ostrowskiego, w której charaktery i sytuacje wyrastają na materiale z dnia powszedniego rosyjskiego bytu mieszczańskiego.

Jeśli Ostrowski dla Małego Teatru nie był tym, czym Czechow dla Mchatu — oblicze artystyczne nadał mu już ojciec rosyjskiego realizmu scenicznego, Szczepkin — to jednak przyczynił się do utrwalenia owej tradycyjnej linii rosyjskiego klasycznego realizmu, zasilając teatr repertuarem o treści, mającej źródło w otaczającym życiu. Będąc tego teatru duchowym, a przez pewien czas i rzeczywistym nauczycielem — kierownikiem szkoły dramatycznej przy Teatrze Małym, Ostrowski pokazał galerię barwnych charakterów, działających w warunkach wielkich i zasadniczych przesunięć społecznych. Protest przeciwko ówczesnym warunkom społecznym Ostrowski wyrażał, wyposażając swoich bohaterów w jakąś cechę zasadniczą. W odróżnieniu od bohaterów komedii Molierowskich, nie personifikuje Ostrowski właściwości psychicznych — chciwości, świętoszkostwa, skąpstwa, ale stwarza typy charakterystyczne dla warstwy, do której jego bohaterowie należą: dla kupców, mieszczaństwa, szlachty. Zachowanie się tych postaci demaskuje wilczą naturę jednych, ciemnotę, podstęp i fałsz drugich, staje się satyrą wymierzoną w ówczesny porządek. I te nuty, których cenzura carska wszelkimi sposobami starała się nie dopuścić do głosu, wywoływały żywy oddźwięk wśród postępowej publiczności. Nie tylko Stanisławski — Hercen, Bieliński i wielu innych wiązało z przeżyciami w Małym Teatrze swe najlepsze wspomnienia.

Naturalnie, teatr charakteryzuje w pierwszym rzędzie nie repertuar, jest on tylko wskaźnikiem tendencji, a tendencją Teatru Małego była prawda. Teatr Mały był zawsze głęboko realistyczny i nigdy ze swej drogi nie zbaczał. Krytyka rosyjska utrzymuje, że Mały Teatr był najbardziej realistycznym teatrem na świecie. Tego realizmu rosyjska scena nie mogła przejąć ani od francuskiego teatru patosu w tragedii i kunsztowności w komedii, ani od niemieckiego dramatu opartego na deklamacji czy komedii-grotesque — a Włochy wydały wprawdzie genialnego Salvini, Duze i paru innych wielkich aktorów, którzy wcielili na scenie wielką prawdę o człowieku, były to jednak tylko indywidualności wybujałe ponad przeciętność zespołu — wielkiego zespołu teatralnego Włochy nigdy nie posiadały. Realizm Małego Teatru to sztuka swoista, samorodna, prawdziwie rosyjska. To rosyjski realizm klasyczny, który „bytowszczyznie" Ostrowskiego zawdzięcza w znacznej mierze swój szlif społeczny.

Z wszystkich teatrów moskiewskich Mały Teatr najmniej przeżył łamańców i kryzysów i najszybciej zrozumiał swoją rolę w społeczeństwie porewolucyjnym.

Tradycja jest najczęstszym i bardzo trafnym jego określeniem. Być kontynuatorem Szczepkina i Jermołowej uważa się na tej scenie za największy zaszczyt artysty. Stąd ciągłość stylu i repertuaru. Po odejściu ze sceny Jermołowej czy Fiedotowej, Jabłoczkina, podejmując te same role i wlewając w nie własną indywidualną treść, nie kopiuje, ale stwarzając kreacje nowe, jednak nie wychodzi poza ramy wspólnego teatrowi stylu.

Nowa treść roli zależy w znacznej mierze od czynnika czasu. Inaczej brzmiała rola Łuki w „Na dnie" Gorkiego 40 lat temu, a inaczej w wykonaniu wciąż tego samego wielkiego artysty Mchatu (w 1946 roku zmarłego) Moskwina. Czterdzieści lat temu słowa pociechy starca Łuki mogły siać niezdrowe iluzje zasłaniające prawdziwą przyczynę staczania się ludzi na dno. Dziś, kiedy dla widza rosyjskiego treść tej sztuki jest już daleką, straszną przeszłością, dystans historyczny pozwala odczuwać Łukę nie tylko jako nosiciela szkodliwych idei, ale jako dobrodusznego, chytrego i przystosowującego się do sytuacji staruszka. Jego filozofia życiowa przestała grać rolę czynnika społecznego. Jeśli Mchat pokazuje jeszcze dziś sztukę Gorkiego, to po to, żeby podkreślić jego wydźwięk optymistyczny: ideę, że ludzie nawet na dnie nie tracą najgłębszej iskry człowieczeństwa. „Człowiek — to brzmi dostojnie". Słowa te zostały wypowiedziane właśnie w „Na dnie". Jest to zasadnicza linia Mchatu: wydobywanie z duszy ludzkiej jak najwięcej piękna i szlachetności, a z życia jak najwięcej perspektywy na przyszłość. Dzisiejszy człowiek sowiecki odrzuca wszystko, co było złe w przeszłości, co zostało przez historię jego kraju przezwyciężone, a wzbogacając swą wiedzę, umacnia swój pogląd na człowieka, jako odwiecznego nosiciela postępu i piękna. To jest optymizm budujący Mchatu, czyniący ze starych sztuk materiał odpowiadający wymaganiom czynnej, twórczej, dzisiejszej widowni sowieckiej, znającej swoje miejsce w świecie i historii.

Teatr Mały jest teatrem tradycji. Jakże to, co było dobre i potrzebne dla publiczności przedrewolucyjnej, mogło stać się bliskie i zrozumiałe dla dzisiejszego widza? W jakiż to sposób Ostrowski, wyśmiewający stosunki społeczne drugiej połowy XIX w, może interesować i zachwycać człowieka epoki piatiletek i zwycięskiej wojny z faszyzmem?

W 1944 roku została wznowiona sztuka Ostrowskiego „Wilki i owce". Sztuka ta daje najlepszy może przekrój obyczajowości rosyjskiej ubiegłego wieku, który zresztą nie tylko w Rosji (wystarczy wspomnieć Francję Balzaka) był wiekiem apoteozy pieniądza. Pieniądz określał wszystko: życie i śmierć, stanowisko i miłość. Pieniądz podzielił społeczeństwo na wilki i owce. Nie praca, nie osobiste zasługi, nie umiejętność, ale silne kły, podłość, podstęp i bezwzględność decydują o człowieku. Dla człowieka XIX wieku pieniądz stał się demoniczną abstrakcją, a hobbesowska zasada homo homini lupus est, zdawało się, osiągnęła swoje apogeum. Jednolite uczucia więc musiał budzić bohater Ostrowskiego z „Na wsiakowo mudrieca dowolno prostoty" Głumow — podły, przewrotny, dążący za wszelką cenę do bogactwa; wstrętem na pewno przejmowała jego dwulicowość, pochlebstwo i kupczenie własnym sercem; godna jedynie potępienia była Czeboksarowa z komedii „Szalone pieniądze" za swój cyniczny stosunek do przyszłego męża — bogatego kupca. Dziś Teatr Mały przesunął punkt ciężkości z jednostek na społeczeństwo. Winny nie jest ani Głumow, ani Czeboksarowa. To są tylko ofiary. Carew-Głumow, to młody człowiek, obdarzony niepospolitymi zdolnościami, który w pogardzie dla otoczenia czerpie usprawiedliwienie dla swoich nieetycznych postępków. Młoda Czeboksarowa uważa, że jej piękność niedostępna jest dla pieniądza, — a gdy się okazuje, że bez pieniędzy jej uroda traci wszelką wartość, z pogardy dla „budżetu" daje się kupić bogatemu kupcowi. Na scenie dziś okazuje się, że Głumow nie jest wcale najgorszy, a kupiec, któremu Ostrowski nie szczędził zalet (w dobie naszego polskiego pozytywizmu uchodziłby za ideał), wcale nie jest lepszy od tej, którą kupuje. Abstrakcja pieniądza zostaje skonkretyzowana wilczymi stosunkami w społeczeństwie, algebra banknotu zostaje rozszyfrowana sposobem zdobywania go przez jego właścicieli, a zasada homo homini lupus est zwężona zostaje do ram jednej tylko klasy, do klasy... wilków.

Głafira („Wilki i owce") jest podupadłą szlachcianką, która znaznała życia w przepychu i salonach i nie chce marnować młodości w ubóstwie i niedostatku. Habit mniszki i opuszczone rzęsy — to mimika w otaczającym ją kręgu drapieżnych zwierząt i pieniądza. Trzeba tylko sposobności, żeby zrzuciła z siebie owczą skórę i pokazała prawdziwą twarz. Głafira nie jest świętoszkiem jak Murzawiecka, z całą otwartością i szczerym cynizmem zabiera się do zdobycia bogatego męża. Ożywa, kiedy rzuca z siebie habit, oddycha pełną piersią, do głosu dochodzi człowiek namiętnie kochający życie — to jej swoisty humanizm. Tak gra Zierkałowa. I ta interpretacja czyni ją tak bliską publiczności, że zapomina się o jej niezbyt szlachetnych celach i życzy się jej powodzenia w rozpoczętych łowach. Wiemy, że gruba zwierzyna, obszarnik Łyniajew, zaplącze się w końcu w sieci urody, a jeszcze bardziej błyskotliwej inteligencji wyrafinowanej i mądrej

(Dokończenie na stronie 4)

Na kongresie UCP

Z przemówienia przedstawiciela Polski

Artykuł poniższy jest przemówieniem delegata Polski, wygłoszonym na kongresie U. C. P. (Union des Chrétiens Progressistes). Cóż to jest U. C. P.? Jest to zespół ludzi, wywodzących się ze środowisk chrześcijańskich (katolicy i protestanci), który dając wyraz pewnemu ruchowi w łonie inteligencji francuskiej, przyjął wyciągniętą dłoń partii komunistycznej (o czym mowa w jej ostatnim manifeście z kwietnia br.), celem współpracy i rozszerzenia możliwości wspólnego marszu. W zespole U. C. P. wyrabiają się elementy, które w następstwie wstępują, według uznania, do partii komunistycznej, lub też do socjalistycznej (niedawno powstał także odłam tzw. Socjalistes Unitaries, tworzący z partią komunistyczną wspólny front ludowy). Wielu też członków U. C. P. pozostaje poza wymienionymi partiami, trzymając się opracowanych przez organizację kierunków działania, a idących po linii współpracy z partią komunistyczną oraz desolidaryzacji z M. P. R. (Mouvement Republicain Populaire), który zawiódł nadzieje lewicy chrześcijańskiej i przyjął charakter reakcyjny, podtrzymując politykę kapitalistycznej Ameryki. U. C. P. składało się jak dotąd wyłącznie z elementów inteligentnych — a nawet z intelektualistów, obecnie przyjmuje się coraz silniej w środowiskach robotniczych.

Artykuł niniejszy traktujemy jako dalszy ciąg podjętej na łamach „Odry" akcji naszej stałej współpracowniczki paryskiej, której pierwszy artykuł poświęcony możliwościom sojuszu komunistyczno - chrześcijańskiego na gruncie polskim w oparciu o przykłady francuskie ukazał się w jednym z ostatnich numerów „Odry" pt. „Do niepodległych Gerwazych i Protazych". Będziemy się starali, by wokół tej ważnej sprawy rozwinęła się w „Odrze" szersza dyskusja. (RED.)

Słyszeliśmy przed chwilą przedstawiciela organizacji „Joune republique", według niego UCP musiałoby podjąć akcję oddziaływania na komunistyczną partię „ewangelizowania" jej niejako. Słyszeliśmy też odpowiedź daną mu przez p. Mandouze*), który wykazuje, że tego rodzaju działanie jest niepotrzebne. Nie powiedział on jednakże, że jest ono niemożliwe, nie zestawił światowej roli komunizmu i liczebności jego członków z rolą i liczebnością UCP. To co niemożliwe, jest niepotrzebne i praktycznie dochodzimy do tych samych konkluzji co i p. Mandouze.

Natomiast problem ten w formie odwróconej jest poważny i godny zastanowienia: możliwość oddziaływania komunizmu na UCP, zasięg tego oddziaływania oraz stopień jego pozytywności.

UCP jest sojusznikiem i podporą komunizmu, może nim być właśnie dlatego, że komunizmem nie jest, że się z nim nie zlewa. Sojusz ten, rozpatrywany z różnych stanowisk, wykazuje swoją doniosłość:

a) **Ze stanowiska komunizmu.** Partia oddawna kładzie duży nacisk na politykę sojuszów i znajduje potwierdzenie tych swoich posunięć w pismach Lenina, tak daleko wybiegających swymi perspektywami wprzód. Sojusz jest warunkiem przyśpieszenia triumfu komunizmu i jest niezbędny; jest on też możliwy, ponieważ każdy komunista jest istotą ludzką, choć nie każda istota ludzka jest komunistą; poza partią są niepartyjni. Gdyby UCP nie wytrzymało na swej placówce i wsiąkło w komunizm, wówczas problem sojuszu stanąłby znów otworem i musiał by być realizowany przez innych niż UCP. W interesie komunizmu leży więc, by UCP było „sobą", tj. związkiem postępowych chrześcijan.

b) **Znaczenie sojuszu dla chrześcijan:**

Ratuje on chrześcijaństwo od kapitalistycznej zagłady, która dla kapitalizmu jest prędzej czy później sprawą przesądzoną, jak nieunikniona jest śmierć starca.

c) **Znaczenie sojuszu w skali ogólnoludzkiej:**

Różnorodność odmiennych czynników powoduje ruch dialektyczny, bez którego trwa stagnacja i ciężkość systemu klasycznego podobnego do czasów Ludwika XIV. Komuniści potrzebują nie-komunistów, nie tylko by zwyciężyć w danym momencie historycznym, ale po wszystkie czasy, gdyż inaczej groziła by im degeneracja. Życie potrzebuje różnorodności, aby nie stanąć na miejscu.

Tak więc zadanie UCP, pozostającego „sobą", jest podwójne: stoi ono na straży interesu komunizmu, stoi też na straży żywotności kultury ludzkiej.

Francja jest znakomitym terenem dla rozwoju wyżej naszkicowanej podwójnej akcji. Widzieliśmy, jak przez tę salę przesunęli się przedstawiciele przeróżnych odcieni postępowej myśli. Sojusz z komunizmem dokonać się tu może dlatego, że Francja jest wieloraka, i stara, i mądra tą mądrością starych, którzy — o ile ją mają — stają się młodsi od młodych.

To też Francji przypada równocześnie ze Związkiem Radzieckim poważna rola w dziejach ludzkości. To co się już dokonało w ZSRR, jest dziedziną ogólnoludzką, powszechną, spełnioną już i nie ma co do niej powracać.

Francja jest magnetycznym krajem, do którego ciągną cudzoziemcy. We francuskiej ojczyźnie bowiem znajdują oni świat i stają się jego patriotami. Francja nie jest „zgniła", jak chętnie rozpowszechniają ten fałsz wielbiciele Niemiec, tj. ci którzy wiedzą, że Francja nie będzie tak jak Niemcy ulegle służyć ich interesam. Ramy, które są przegniłe, krępują jej wolność, tak jak garnitur przez złego krawca uszyty. Demokratyczna Francja zrealizować może lepiej od wielu innych narodów politykę sojuszów o charakterze wysoce witalnym i pozytywnym.

Krystyna Wryczan

*) Mandouze — prof. Uniwersytetu w Algierze, jeden z czołowych działaczy UCP. — Red.

Czarne

(Dokończenie ze strony 1)

— No prędzej, tam może już nosze potrzebne, a oni tu sterczą jak kołki...

Tym razem miał rację. Bez słowa chwycili za drążki opartych o ścianę nosz i szybko pośpieszyli w stronę tak dramatycznego dziś wejścia do maszynowni.

Gardoch, mijając nieszczęsny swój mostek, ponuro zwisający nad torem, polecał się w myśli Pannie Piekarskiej...

Na miejscu panował rozgwar. Wicedyrektor huty, inż. Osoczek i szef wielkich pieców, sprowadzeni alarmem na miejsce wypadku, panowali nad sytuacją. Zarządzenia ich dążyły teraz w kierunku możliwie prędkiego, ale niezagrażającego już więcej niczyjemu życiu wydostania z hali ciał dwu maszynistów. Nikt nie miał już wątpliwości, by mogli pozostać przy życiu. Dyrektor obliczał prawdopodobny czas, potrzebny do przewietrzenia maszynowni przynajmniej na tyle, by bez ryzyka utraty życia próbować dostania się do wnętrza. Tymczasem wysłani ludzie przynieśli latarki elektryczne, żeby nie poszukiwać po ciemku, jak to robił inżynier Korczak.

Tak, tylko że teraz był czas, wtedy go nie było...

Gdy Gardoch z towarzyszami zmieszali się z pozostałymi, tematem rozmowy było zachowanie inżyniera Korczaka. Odważny, uczciwy czyn jego zjednał sobie serca tych ludzi, tak pozornie mało uczuciowych, niewrażliwych, wykreślających z życia sentyment omal bez reszty. W gruncie rzeczy była to obojętność zewnętrzna tylko, wykształcona przez długie lata zmagań z naporem niemieckim. Psychika Śląska zamykała się przed wpływami z zewnątrz na kształt kielichów kwiatów, stulających swe płatki przed czernią i chłodem nocy. I jak kwiat taki we dnie, w słońcu i cieple pulsował pełnią wesela, cieszył oczy barwą i siał dokoła ożywczą woń, tak tu w pewnych sytuacjach odsłaniały się płaty zewnętrznego chłodu i obojętności, a wyzierało spod nich gorące, polskie serce.

Do podziwu i szczerych uczuć przywiązania w stosunku do inżyniera dołączał się teraz palący, ciężki wstyd. Wyrzutem ostrym, piekącym wracało w tłumie wspomnienie własnej, wrogiej Korczakowi, nierozumnej postawy. On przecie tak jak oni współczuł Miszkolowi, ale przez współczucie nie chciał narażać bezpotrzebnie innych, on ich ratował przed śmiercią, a oni odpłacili mu wyzwaniem od mordercy. Co popędliwsi, przypomnieli sobie odłamki żelaza, lecące w stronę inżyniera i ten i ów obzierał się dokoła, usiłując odnaleźć właściwego sprawcę. W gorączce i zapale tamtych chwil nikt przecie nie zważał wtedy na szczegóły, nie oglądał się na innych. Spojrzenia więc badawcze, groźne wracały skąd wyszły, zniechęcone, bez wyników.

Któryś splunął ze wściekłością na ziemię.

— Morderca — wrzeszczeliśmy. A kto go omal nie zabił tym żelazem?...

Słowa te doszły do uszu Gardocha. Drgnął gwałtownie. Żałość niezmierzona, gorycz, pomieszana z refleksami widziadła, przesuwającego się wzdłuż torów na krótko przed katastrofą, wreszcie niesłychane podniecenie napięły mu nerwy do ostateczności. Jawiła mu się raz po raz przed pamięcią twarz Korczaka, blada, zwisła, to znów jego dłonie kurczowo zaciśnięte na nodze Wawrocha. Wzdychał, wiercił się niespokojnie. I teraz wystarczyło jedno słowo, by rozpalić w nim żądzę zemsty, choćby częściowego wyrównania krzywdy, uczynionej przez tamtych. Nie znał szczegółów, wiedział tylko, że wystąpili przeciw inżynierowi, że ten musiał strzelać na postrach. Że też tu ich nie było, piecowników. Nie dopuściliby tamtych durniów. Oni znali dobrze swego inżyniera... A jeszcze okazuje się, ktoś chciał go zabić. Rzucał żelazem. Krew nabiegła Gardochowi do skroni, zapulsowała, załomotała w czaszce gwałtownie. Pot wystąpił na czoło gęstą, kroplistą warstwą. Hamując wzburzenie, nienaturalnie głuchym głosem zapytał:

— Co, rzucał ktoś w inżyniera żelazem?...

— Juści, a bo to raz. O takimi sztukami — któryś wskazał na leżących kilka, widocznie wysypanych z przejeżdżającego wagonu kawałków niekształtnie odlanej surówki.

Gardoch zacharczał, a twarz nabiegła mu krwią. Zrobił się straszny:

— Kto to robił — głos wybiegał urywanie, złowieszczo.

Umilkło nagle dokoła. Czaiło się coś strasznego w tej postawie, w tej twarzy nabrzmiałej, w charkocie. Po prawdzie, to nikt i teraz nie mógł sobie przypomnieć, czyja ręka chwytała za odłamki, czyj głos nawoływał do naśladowania.

W tej ciszy poruszył się wysoki, chudy ładowacz. Długie, potężne wąsy drgały mu nerwowo. Był to rudziarz, którego Korczak pamiętał ze spotkania tej nocy w ambulansie przy opatrywaniu zmiażdżonej dłoni młodego mężczyzny. On to otrzymał potem zlecenie nie wpuszczania nikogo do wnętrza hali w czasie, gdy inżynier doglądał otwierania okien i wstrzymywania napływu gazu. Jarosz, tak zwał się wąsacz, gorzko przeżuwał teraz wyrzuty sumienia, że opuścił oto w pewnym momencie inżyniera i dał się porwać postawie reszty. Że razem z nimi stanął przeciw człowiekowi, który o ileż przerósł ich sercem i głową...

Gdy padło pytanie Gardocha, wyraźnie ujrzał w pamięci twarz ściągłą, obcą człowieka w cyklistówce nasuniętej na oczy. Był to przecie Ferner, ten sam, który omal nie zamordował przedtem młodego Szczebrzocha, najeżdżając nań wagonetką w momencie, gdy był schylony nad butem. Nienawiść szarpnęła sercem Jarosza. Bez namysłu wyciągnął dłoń i wskazał palcem.

— On rzucał. Stał tam, z tyłu i wołał, by zabić inżyniera...

Wszystkie spojrzenia pobiegły w kierunku wskazywanym przez wyciągniętą, drżącą dłoń wąsacza. Za plecy innych, skurczony, tchórzliwie kulił się winowajca. Nieprzytomny ze strachu zakrzyczał piskliwie:

— Nie jo, nieprawda, nie jo...

Ale teraz przypomnieli już inni.

— On, on, pamiętam.

— Ja, jeszcze nas błoznami nazwał, że się boimy inżyniera.

— Ten sam. Niemcom się przychlebio w birstubie...

Ferner zbladł, skurczył się jeszcze bardziej. próbował oponować, coś protestować, złożył ręce błagalnie, jakby się modlić chciał o ratunek, ale masą napierali nań teraz dokoła, pokrzykując gwałtownie. Gniewne pięści już podnosiły się nad głowy, tężały ramiona, gdy osadził wszystko w miejscu ostry głos Gardocha.

— Ostawcie go mnie.

Zamilkli, wstrzymali się. Winowajca z nadzieją spojrzał na majstra, ale zimny błysk jego oczu zaraz go tych złudzeń pozbawił. Chwiał się, mdlał, jakby pragnął zapaść się pod ziemię.

Gardoch stanął przed nim olbrzymi, pozornie spokojny. Ręce tylko ściśnięte kurczowo, drżały mu jak w febrze. Zapytał:

— Pocoś to robił?

— Po tamtego żeby iść, ratować... — bąkał, kuląc wzrok ku ziemi.

I ty byś poszedł tam, do maszynowni, do gazu?...

— Gdzieżby, z tyłu stał, za wszystkimi... — buchnęło wieloma głosami.

Majster zasyczał dziwnie groźnie, złowieszczo.

— Teraz odpowiesz za to. Może to przez ciebie inżynier umrze...

Władysław Jan Grabski

Może zdziwi to niejednego z czytelników, że wśród marynistów umieszczam autora, którego niemal cała twórczość — za wyjątkiem „Sagi o jarlu Broniszu" — nie jest związana z zagadnieniami morskimi. Niewątpliwie określenie „marynista" w stosunku do autora takich powieści jak „Bracia", „Kłamstwo", „Na krawędzi", czy „W cieniu kolegiaty" — nie jest ścisłe. Rzecz jednak charakterystyczna — nie te powieści zdobyły mu sławę, nagrodę i popularność, ale właśnie wielka trzytomowa *powieść o morskiej ekspansji polskiego rycerstwa* z czasów Bolesława Chrobrego, o tej wielkiej epoce polskiego państwa, kiedy wiązało się ono [illegible] z morzem, wytyczeniem i dzisiejszymi zachodnimi granicami. W swej intencji historycznej „Saga" miała służyć, jak mówi autor, „Polsce Zachodniej, Morskiej". Tak też zrozumiała intencje autora publiczność i krytycy. Powieściopisarz Dobraczyński nazwał ją pierwszą po wojnie „polską powieścią o morzu", publicysta Modrzewski „jednym z najpiękniejszych utworów naszej marynistyki", marynista Jerzy Rychliński „nową awangardą morską", a krytyk literacki Stefan Papee uznał bezsporną zasługę autora, że w powieści swojej dał pełny obraz morza. „Dotychczas bowiem — powiedział słusznie Papee — trzymaliśmy się ostrożnie kaszubskiego brzegu. Tu płyniemy już śmiało nie tylko po zatoce szczecińskiej, po morzu windlandzkim, wokół wyspy Rany czy Chyciny, ale puszczamy się aż do Danii, Szwecji i Norwegii".

Jest rzeczywiście coś niezwykłego w tym, że tak jak po pierwszej wojnie światowej, niemal u progu naszej niepodległości Żeromski w roku 1922 zwrócił naszą uwagę na doniosłość „Wiatru od morza", tak po drugiej wojnie światowej Władysław Jan Grabski swoją „Sagą o jarlu Broniszu" już w roku 1945 zaczął odbudowę naszych zainteresowań morskich wielką wizją Polski morskiej sprzed dziesięciu wieków.

Powiedziałbym nawet więcej. Dzięki Grabskiemu, dzięki jego dziełu o Wielkim Zachodzie i Wielkim Morzu doznaliśmy szczególnej rekompensaty uczuciowej za utratę Wielkiego Wschodu i Wielkiego Lądu, z którym zżyliśmy się od wczesnej młodości w dziełach Sienkiewicza. W przedziwny i zgodny z przebiegiem historii sposób Grabski stał się na terenie literatury przełącznikiem naszych odczuć, busolą, skierowującą źródła naszych zainteresowań ze Wschodu na Zachód.

W tym m. in. tkwi wielkie znaczenie tej trylogii dla nowego pokolenia, wychowującego się już w nowych, innych warunkach. W tym także zawiera się doniosłe znaczenie tej powieści dla naszej marynistyki.

Czy Grabski tworząc swoją powieść marynistyczną posiadał pewne doświadczenie morskie, czy znał trudną i odrębną od lądowej atmosferę morza, czy też jego natchnienia marynistyczne opierały się tylko na fantazji, względnie na książkowych studiach nautycznych? Na te pytania, tak nieodparcie nasuwające się przy lekturze „Sagi", otrzymuję od autora interesujące oświadczenia.

— Z morzem zaprzyjaźniłem się od młodości. Mając 16 lat przebywałem na Krymie, w Teodozji. Na szybę mego pokoiku wiatr bryzgał w czasie burzy słoną rosę z fal Czarnego Morza. Poznałem je w czas lata, jesienią, zimą i wiosną. Kochałem morze, kochałem nad morzem. Pamiętam dobrze to styczniowe morze w czasie rewolucji 1918 roku. Gdy śnieg oprószył piaski nadbrzeżne — morze oddychało parą. Dymiły fale. Zapewne — młodzieńcze wspomnienia czarują przeszłość. Ale nie znam piękniejszego, rozmaitszego morza jak Morze Czarne. Czasami, zamiast iść do szkoły, wagarowałem na morze. Zwierzenia niedyskretne, niecenzuralne dla młodzieży. Z zapasem żywności wypływałem samotnie łódką na morze i łowiłem ryby na kilkunastometrowy sznur z kilkunastu haczykami, a na przynętę krewetki, tak zwane tam rakoczelniki. Sprzedawałem te ryby na targu i w ten sposób zdobywałem ruble na wycieczki, kino czy papierosy. Byłem dobrym pływakiem. W następnych latach poznałem Bałtyk, zdeptałem polski brzeg od Gdańska do Karwi, później pływałem na Adriatyku, wreszcie na Oceanie Atlantyckim, u brzegów Bretanii. Atlantyk oczarował mnie. Pisałem o nim sonety i poematy. Oto na próbę cztery strofy z pisanego przed ćwierć wiekiem wierszyka „Flirt z Oceanem":

Gdy krzyknie myśl, gdy tęsknie przymknie oczy,
Pełzniesz do stóp, kochanku mój złowrogi...
Na drobiazg kości mych twa wielka pierś się tłoczy
I polskich trosk zalewa miałkie progi...

Wargi na strzępy zdarte o skaliste brzeg
Wyciągasz tak łakomie do mej ręki!
Na czoło bryzgasz symbol swej udręki:
Złamanych fal płonisty śnieg...

Stoję przed tobą i nie wiem, kim jestem.
I nie wiem, ktoś ty — kolebka mą czy trumną?
Jakim zagarnąć chcesz mnie dziś gestem?
Czym grozi pieśń twa tysiąc-falo-struna?

Niech i tak będzie, że ja jestem Niczem...
A ty potężny, starowieczny, dumny!
Ale w tej chwili ja do ciebie krzyczę:
O Oceanie! Jesteś Bezrozumny...

Później spędziłem parę lat w dawnym Petersburgu, poznałem Finlandię, widziałem Zorzę Polarną i Białe Noce, oswajałem się nawet z klimatem Północy.

— *W jakich warunkach powstała „Saga"?*

— Przygotowywałem się do jej napisania przed wojną, ale napisałem ją w czasie okupacji, jak to się mówi „w cieniu walczącej Warszawy", w latach 1941—1943. Naturalnie że nie miałem wtedy możności sprawdzać doświadczalnie szlaków podróży morskich mych bohaterów. Ale umiałem tęsknić do morza. Tęskniłem tak, jak tęskni się na śmietniku do kwiecistej łąki, jak wzdycha się w mroźną noc do słonecznego południa, jak marzy się w więzieniu o swobodzie beztroskich wędrówek. Pisząc, spieszyłem się by skończyć przed jutrem, bo każde jutro wtedy, pod Warszawą, jak i w całej Polsce ugniecionej jarzmem hitleryzmu, groziło przerwaniem nie tylko pracy, ale i życia.

— *Czy z tego pośpiechu nie wynikły pewne niedokładności?*

— Oczywiście. Ileż razy musiałem przerywać pisanie, a rękopis chować pod podłogę, bo ktoś zadzwonił w nocy niespodzianie, bo ktoś za oknem krzyknął, gdzieś strzelano. Strzelano i do mnie. Byłem ranny. Albo te źródła, te mapy, książki angielskie, rosyjskie, francuskie, szwedzkie, notatki, szkice portów bałtyckich... Czy zdołałbym wytłumaczyć w razie rewizji tumanom z Gestapo, że moja pracownia to nie kuźnia szpiegowska. Więc i źródła chowało się po dziurach. Dom był zresztą podminowany, każda rewizja groziła katastrofą, bo to i broń i radio i gazetki, ukryci Żydzi, tajne komplety, sto spraw, a za każdą groziła śmierć na miejscu lub w Oświęcimiu. Pisałem więc „Sagę" rozmyślnie tak nieczytelnie, bym tylko ja umiał ją odcyfrować i w razie przymusu zmienić, odcyfrowując. Łudziłem się nadzieją, że po wojnie będę miał czas i spokój, by opracować tekst, wypolerować, poprawić, *ślęczeć nad trzytomową Sagą choć pół roku w takich warunkach, w jakich mieli możność opracowywać swe dzieła historyczne inni pisarze polscy i obcy w normalnych czasach.*

Niestety, lata 1945—46 pełne były gorączkowej pracy. Ledwo starczyło godzin, by odcyfrować rękopis, posłać do druku i choć pobieżnie przeprowadzić korektę. Przecież w tym samym okresie napisałem „Polskę nad Odrą, Nisą i Pasłęką" i pięćsetstronicowe „200 miast wraca do Polski", wyrysowałem mapy, sporządzałem referaty, uczestniczyłem w konferencjach dotyczących Ziem Odzyskanych, nie mówiąc już o drobniejszych artykułach, poezji czy pracy społecznej. Zdaję więc sobie sprawę z pewnych niedokładności, głównie stylistycznych i językowych omyłek, które, mam nadzieję znikną z trzeciego wydania „Sagi".

— *A na jakich źródłach oparł Pan opisy współczesnych statków i okrętów oraz znajomość praw i obyczajów morskich?*

— Długa musiałaby być lista tych źródeł. Obejmuje ona fachową literaturę angielską, francuską, niemiecką i skandynawską. Czasem przypadkowa strofa dawała im więcej światła aniżeli ślęczenie ze słownikiem nad obcym tekstem. Wiedzę dopełniałem fantazją, a fantazję karmiłem najróżniejszą strawą, na przykład lekturą współczesnych, podróżniczych powieści po krajach dzikich, wyspiarskich ludów. Katalogi muzealne i roczniki archeologiczne wiele mnie nauczyły.

— *Katalogi muzealne?*

— Dam Panu przykład. Oto sprawa mieczy moich bohaterów: Bronisza i Olafa. W roku 1930 wyszła w Poznaniu „Księga pamiątkowa" ku uczczeniu Włodzimierza Demetrkiewicza. Na stronie 363 znalazłem w niej artykuł Gabriela Leńczyka o trzech mieczach wikingowskich, znajdujących się w zbiorach P. A. U. w Krakowie. Trzy tablice i sześć rycin w tekście. W kolorach. Miecze znaleziono na terenie Polski, pochodzą z epoki opisywanej w mojej „Sadze". Jeden z nich, odkopany w Małopolsce Wschodniej, leżał w mogile obok szkieletu rycerza, przy którym spoczywał szkielet kobiety, najpewniej małżonki. Nad głową rycerza leżał też klucz żelazny w kształcie kotwicy, symbol gospodarza. A więc nie był to wędrowny wiking! A te miecze, wspaniałe miecze, inkrustowane artystycznie złotymi i srebrnymi drutami, z emalią na główce, a z klingą z takiej stali, że bylepilnik jej nie skazi. Na takie miecze trzeba było sporządzać i tarcze odpowiednie. Stąd dalsze wnioski i konsekwencje o poziomie życia, technice, zamożności etc. Jeżeli Bronisz miał podobny miecz, to naturalnie i brzytwę posiadał nie z gorszej stali, ale owszem, ostrą. Każdy więc szczegół starałem się w jakiś sposób umotywować, aby samemu wierzyć w to, co piszę. Ale nie pisałem „Sagi" dla siebie. Pamiętałem zawsze o czytelniku polskim przede wszystkim, dzisiejszym. Dla niego obrałem taki, a nie inny, zrozumiały, lekko zarchaizowany język, operowałem dzisiejszymi pojęciami dla wyrażenia dawnych myśli i uczuć, których przecież możemy się dziś zaledwie domyślać.

— *Rzeczywiście, sprawa powieści historycznej stawia przed autorem niezwykłe trudności.*

— Większe aniżeli czytelnicy, a nawet krytycy podejrzewają. By nie być gołosłownym, podam jeszcze jeden przykład. Jakie fikcyjne zdania, fakty, przeżycia godzi się przypisywać postaciom historycznym? Konkretnie: wiemy, że takie kobiety jak Oda Mieszkowa, Adelajda Węgierska i Sigrida Dumna żyły, działały, rodziły potomków. Czy może pisarz, biorąc na warsztat powieściowy którąś z tych postaci, przypisać jej dowolnie, dla swych literackich celów, popełnienie jakiegoś złoczyństwa, grzechu śmiertelnego, dla którego nie ma ani podstawy, ani śladu w historii czy legendzie lub późniejszej opinii?

Dla pisarza wierzącego jest to zagadnienie odpowiedzialności [illegible]. Dla niewierzącego — to zagadnienie odpowiedzialności historycznej i moralności zawodowej. To bardzo ciekawy problem, którego krytyka literacka nie dotknęła jeszcze.

— *Jednym z najbardziej frapujących epizodów, a zarazem najbardziej doniosłym dla znaczenia „Sagi" jest wielka bitwa królów pod Svolden. Nic dziwnego więc, że kiedy jeden z historyków próbował podważyć prawdę tego epizodu a tym samym i wartości „Sagi", my, mieszkańcy Szczecina, tak bliscy opisywanym przez Pana ziemiom, odczuliśmy to jak najbardziej osobistą sprawę. Toteż, gdy w ubiegłym roku, w jesieni, przyjechał do nas z wieczornem autorskim Antoni Gołubiew, skierowaliśmy dyskusję na ten właśnie temat. Pamiętam, jako inicjator tej dyskusji, z jakim entuzjazmem przyjęliśmy jego oświadczenie, że prawda historyczna jest po stronie „Sagi". A było to jeszcze przed Pańską odpowiedzią, wykazującą bezpodstawność twierdzeń lekkomyślnego historyka. Ponieważ bitwa królów pod Svolden jest jednym z najpoważniejszych dla „Sagi" epizodów, a zarazem ukoronowaniem niejako jej marynistycznego charakteru, pragnęlibyśmy jeszcze raz usłyszeć Pańską opinię o tej sprawie.*

— Cieszę się, że Pan tak właśnie ocenia wielkie znaczenie, jakie dla konstrukcji „Sagi" ma bitwa pod Svolden. Tak jest, Bitwa Svoldeńska to kluczowe zdarzenie dla całej powieści. Wyznaję, że póki nie zrozumiałem stosunku między Svolden a Gnieznem i sprawami polskimi, nie śmiałem komponować fabuły powieści, wypełniać przyczynowo okresu trzech lat dzielących ślub Sigridy ze Swendem i Rok Tysiączny oraz półrocze dzielące Gniezno i Svolden. Dla Europy północnej Bitwa Svoldeńska była wydarzeniem ważniejszym bodaj od Zjazdu Gnieźnieńskiego. Gdyby Olaf Tryggvasen nie był zginął pod Svolden, losy Europy potoczyłyby się zgoła inaczej. Swend nie miałby możności poświęcania się podbojowi Anglii, gdyż wojna o pryzmat tronów trwałaby między Normanami. Od roku 997 siły tak się ułożyły, że Norwegia opierała się o sojusz z Anglią i szukała wsparcia u Waregów, a Dania przez Sigridę wzmacniała się Szwecją, przyjaźniła z Polską i też szukała kontaktu z Waregami ruskimi. Svolden rozcięło ten węzeł. Historycy do ostatka nie umieli wytłumaczyć sobie genezy tej tragicznej i owocnej w skutkach rozprawy, a nie rozumiejąc jej skłonni byli rozwiązywać zagadkę tej bitwy wbrew dowodom, a tym samym lokować ją gdzie indziej, byle nie pod Svolden. Ten fakt wzbudził we mnie podejrzenie, iż historycy zabrnęli na ślepy tor, zgubili klucz od badań i szukali źródeł bitwy nie tam, gdzie się one zaczynały. Czy dopomogła mi do tej koncepcji intuicja czy koncepcja badawcza, to wszystko jedno. Gdy raz postanowiłem zsynchronizować Zjazd Gnieźnieński, odbyty w pierwszej połowie marca 1000 roku z Bitwą Svoldeńską rozegraną dnia 9 września 1000 roku, fakty zaczęły znakomicie pasować do siebie i chronologia okruchów przekazów historycznych wraz z tradycją skandynawskich sag bez naciągania uzgadniały się z mą kompozycją. Dało mi to jedno z najradośniejszych przeżyć twórczej pracy. Konstrukcja historyczna oparta o kompozycję artystyczną, wypełniła logiczną i prawdopodobną treścią Rok Tysiączny.

Bez tego rozwiązania nie byłoby „Sagi".

— *Jak w takim wypadku zachodzi różnica między historykiem a powieściopisarzem?*

— Powieściopisarz nie może sobie pozwolić na to, co wolno historykowi: rejestracje zdarzeń historycznych, choćby sprzecznych ze sobą, operowanie hipotezami, tym bardziej, że dopuszczalny jest margines wątpliwości. *Powieść musi być niewątpliwa, jednorodna, a jest tym prawdopodobniejsza, im ściślej autor uzgadnia ją z historią, wybierając z różnych hipotez i domniemań te, które najlepiej odpowiadają potrzebie, a więc zgodne są z sensem, logiką, realizmem, prawdą historyczną, polityczną i psychologiczną opisywanych zdarzeń.*

Jeżeli zważymy, że większość tych opisywanych zdarzeń jest po dziś dzień różnie interpretowana przez różnych historyków, że kwestionowane są przez niektórych nawet autentyczne teksty Dytmara i Galla, że względy polityczne tak wielką grają rolę przy różnej interpretacji, tych samych autentycznych tekstów, wtedy zrozumiemy przez ile trudności, niepewności, wątpliwości musiał przebrnąć powieściopisarz, aby zdecydować się wreszcie na taki, a nie inny sąd o opisywanych zdarzeniach. Jedno jest pewne, mianowicie to, że konstruując „Sagę" nie przestałem być Polakiem XX stulecia. Gdybym nie był tym, kim jestem, nie napisałbym zapewne „Sagi".

— *O ile wierność i uczciwość Pańskiej koncepcji, realizm, czy intuicja znalazły pokrycie w dzisiejszych badaniach historycznych?*

— Wymienię tylko parę przykładów na dowód, że nie odbiegłem od nich. Na przykład postać Bolesława, skomponowana przeze mnie przed siedmiu laty pokrywa się w swej mocarstwowości niemal zupełnie z sylwetką tego króla, nakreśloną przez Zygmunta Wojciechowskiego w wydanym przez niego w bieżącym roku szkicu pt. „Bolesław Chrobry i rok 1000". To wiele znaczy dla powieściopisarza. Postać Adelajdy, matki św. Stefana, zgodna jest z wnioskami prof. Kazimierza Tymienieckiego w jego ostatnio wydanym dziele w r. 1947 „Dzieje Niemiec do początku ery nowożytnej". Etnografia i poziom kultury społeczeństwa w „Sadze" zgodne są z wnioskami o kulturze doby Piastowskiej i z odkryciami archeologicznymi, przedstawionymi przez prof. Kostrzewskiego w jego ostatnich, pięknych pracach naukowych — przede wszystkim z dziełem „Kultura prapolska". Prawdziwość bitwy Svoldeńskiej umotywowałem w osobnym artykule zamieszczonym niedawno w „Odrze". Tu dodam, że każdy drobiazg autentyczny, wyłowiony z sag skandynawskich, jak nazwy statków np. Długi Wąż — Olafa, czy Żelazna Broda — Eryka, nazwiska wikingów jak Ulf, Vagne, Einar, Kolbiorn i inni, wraz z przydomkami i z cytowanymi w sagach ich powiedzeniami z pietyzmem wkleiłem w opis bitwy.

— *A postać Sigrydy?*

— Postać Sigrydy sam musiałem lepić z okruszyn przekazów historycznych, ale wierzę, że nie będzie miała do mnie zbyt głębokiego żalu o to, że ją właśnie taką namalowałem i ufam, że taką utrwali się w pamięci Polaków. „Saga" jest pierwszą w literaturze pięknej i historycznej próbą zsynchronizowania najważniejszych wydarzeń Tysiącznego Roku: Zjazdu w Gnieźnie, i Bitwy Svoldeńskiej. Jest pierwszą słowiańską wersją Bitwy Królów. Jest pierwszym, artystycznym pomnikiem słowiańskim Sigrydy.

Można więc moją koncepcję tych zdarzeń podważać, odłamując z całej konstrukcji jakieś mniej lub bardziej hipotetyczne szczegóły. Może ta słowiańska wizja nie podobać się innym narodom. Można przeciwstawiać jej inną wersję, która niechaj z nią walczy o pierwsze miejsce w wyrazie artystycznym, logicznym, psychologicznym, czy etnograficznym. „Saga" ma już swoich obrońców, którzy uznali ją za polski dorobek kulturalny.

Naturalnie, jak każda nowość „Saga" nie jest strawna dla tradycjonalistów. Będzie drażniła wrogów Słowiańszczyzny, szczególnie tych, co zbytnio zawierzyli autorytetowi jednostronnej i tendencyjnej nauki germańskiej. Przewidywałem i to i dlatego uzbroiłem moje dzieło artystyczne w tak poważny komentarz historyczny. Ale nie pisałem tych komentarzy dla wrogów, jeno dla swoich, dla czytelników, by skłonić ich do zaufania, do ufności, że mogło być tak jak opisałem.

Mogło być tak — to dla powieściopisarza wystarczy.

A jak było na pewno — tego już dzisiaj nikt nie dociecze. Z tych ogólnych drobin historii, z okruchów, które nam w rękach pozostały intuicja artystyczna i fantazja literacka więcej zdoła odtworzyć niż naukowa dyscyplina.

— *Czy drugie wydanie „Sagi" wnosi jakieś zmiany do pierwszej redakcji?*

— W drugim wydaniu „Sagi" mało jest poprawek, gdyż nie miałem czasu na korektę. Gdy zauważyłem, to naturalnie poprawiłem błędy w rodzaju „dwójnasób" zamiast „samowtór", albo „statek" zamiast „okręt". W Roku Tysiącznym uchowała się na przykład taka głupia omyłka drukarska na str. 365, szósty wiersz od góry: zamiast „Byś ty o mnie pamiętała" jest błędnie „Boś ty o mnie pamiętała". Jest tego sporo jeszcze na 1200 stronicach „Sagi". Obecnie przygotowuję skrót „Sagi" w jednym tomie z ilustracjami dla młodzieży pod zmienionym tytułem. Postaram się, by była poprawniejsza.

— *Nad czym Pan pracuje obecnie?*

— Obecnie pracuję nad nową powieścią historyczną z czasów Jana Husa. Chyba tylko przygodnie znajdzie się w niej miejsce na marynistykę, gdy poniesie mnie tęsknota za morzem.

— *Powojenna rzeczywistość przywróciła nam w dużej mierze te ziemie i te morza, które są kanwą Pańskiej trylogii. Czy w związku z tym nie kusi Pana, by na własne oczy zobaczyć i skonfrontować z powieścią szlaki wędrówek Pańskich bohaterów i odetchnąć dzisiejszą atmosferą tych miejsc, na których przed wiekami żyli w Szczecinie i na Wolyniu Pańscy bohaterowie?*

— W sierpniu 1948 roku błądziłem w towarzystwie Żony, „samowtór", po Pomorzu Zachodnim. Byliśmy i w Szczecinie, Kamieniu, Kołobrzegu, i na wyspie Wolyń. Wjeżdżając samochodem na Wolyń doznawałem dziwnego wzruszenia. Piechotą błądząc po wybrzeżu — szukałem siebie, jak bym naprawdę mógł już tutaj bywać. Pogwizdywałem dla niepoznaki, by ukryć tęsknotę, z jaką spoglądałem z jakiegoś wzgórza, które nie było Srebrnym Wzgórzem Jomsborczyków, w morską dal, ku Normanom. Do czego, czy do kogo miałem tęsknić? Do Sigrydy? Kiedy? Dziś? Gdy opodal w kabinie gruby prezes zapinał sobie szelki, a milusińskie z Domu Zdrowia zbierały muszelki? Zabawne uczucie. I ciekawe refleksje. Chętnie porozmawiałbym o tym z mymi czytelnikami w Szczecinie, tak jak rozmawiałem o „Sadze" już w Krakowie, Wrocławiu, Katowicach i Sosnowcu.

Rozmowę przeprowadził
Stanisław Telega

Impreza Inżyniera Saby

PAŃSTWOWE TEATRY ŚLĄSKO-DĄBROWSKIE — SOSNOWIEC — PRAPREMIERA SZTUKI JULIUSZA WIRSKIEGO „INŻYNIER SABA"

Impreza inżyniera Saby, wybitnego wynalazcy syntetycznego płótna [illegible]

teatrze. Sztuka Juliusza Wirskiego posiada bezwątpienia szlachetność intencji, bezprzecznie tchnie ideową żarliwością w sprawach społecznych, co jest sympatyczne wszelako w zasadzie jest sztuką słabą i chyba tylko dlatego doczekała się realizacji scenicznej że dyrektor Krasnowiecki nie posiadał w teczce żadnych innych lepszych t. zw. sztuk współczesnych...

Ustalmy pierw residuum miejsca i akcji „Inżyniera Saby". Więc rzecz zupełnie wyraźnie dzieje się współcześnie w jakimś państwie demokracji ludowej w państwie które, o obywatele przeszli przerażającą gehennę wojny i obozów koncentracyjnych które wielkim wysiłkiem obywateli dźwiga się z ruin. Jest u władzy posiadający zaufanie społeczeństwa rząd demokratyczny. Temu rządowi przedstawił niejakiś inżynier Saba wspaniały wynalazek, który by mógł stanowić przewrót w dotychczasowej produkcji materiałów włókienniczych; wynalazek polega na uzyskiwaniu drogą skomplikowanych reakcji chemicznych sztucznego włókna z węgla; na podstawie prób produkcyjnych (inżynierowi udało się wyprodukować kawałek płótna nie większy niż chusteczka do nosa) ministerstwo przemysłu buduje kosztem miliardowych sum ogromne zakłady włókiennicze, przystosowane wyłącznie do produkcji płótna metodą inżyniera Saby. Gdy budowa wielkich zakładów jest prawie na ukończeniu t. zw. „duża próba" mająca wykazać możliwości produkcyjne większych ilości płótna — nie udaje się. W laboratorium zakładów wre wściekła praca: obliczenia próby i jeszcze raz obliczenia i jeszcze raz próby. Zakłady mają niebawem ruszyć (inżynier-wynalazca zobowiązał się do terminu) a tu okazuje się, że coś jest nie w porządku, albo w obliczeniach albo diabeł wie gdzie, dosyć że wychodzi jeno kawałek dobrego płótna, a reszta się rozłazi produkcja na większą skalę jest niemożliwa. Ministerstwo jest zaniepokojone, przyjeżdża do zakładów sam wiceminister, potem specjalna komisja fachowców. Zapada decyzja ministerstwa: wszystko to już za dużo kosztuje i koszta stale rosną próby produkcji na większą skalę się nie udają, trzeba z tej imprezy zrezygnować i zakłady przekształcić na normalne zakłady przemysłu włókienniczego. Na bolesną dla inżyniera Saby decyzję wpłynął reakcyjny dyrektor budowy zakładów inż. Prędski, który boi się powodzenia imprezy inż. Saby, który się kocha bez wzajemności w laborantce Saby, choć wie, że ta oddała serce swemu uwielbianemu inżynierowi-wynalazcy, który dokonuje sabotażu i wreszcie wchodzi w kontakt z kapitalistami przemysłu włókienniczego, obawiającymi się ruiny swoich fabryk w razie powodzenia imprezy. Inż. Prędski nie chce realizacji wynalazku, ponieważ jest wrogiem ustroju demokratycznego i ponieważ się kocha — jak się rzekło — w laborantce inż. Saby, która jest postępowa i nim gardzi. Laborantka wierząca w postęp społeczny i w swego inżyniera-wynalazcę zostaje w międzyczasie oficjalną narzeczoną inż. Saby i ona to przy pomocy pracującego również w laboratorium byłego sierżanta Saby nazwiskiem Birda (Birda laborantka, inż Saba są powiązani wspólną pracą konspiracyjną czasu okupacji) wywalczają zmianę decyzji ministerstwa, (nb. wiceminister przemysłu jest również znajomym z konspiracji) i inżynier Saba nadal czyni doświadczenia aż mu się wreszcie t. zw. „duża próba" w zupełności udaje.

Tak jest z grubsza ukonstytuowana rzeczywistość sztuki, która stanowi podłoże do stawiania i rozwiązywania ustalonych przez autora problemów. Ale zanim jeszcze przejdziemy do owych problemów i do t. zw. zawartości wewnętrznej dzieła nie sposób nie zauważyć, że ta w r e a l i z m i e założona rzeczywistość dzieła wykazuje poważne rysy i skazy, że rzeczywistość ta budzi wątpliwości tym większe im więcej wysiłku wkłada autor w szczegóły mające właśnie dowieść jej realizmu. A oto dwa przykłady: ministerstwo przemysłu puszczające się w ciężkim powojennym okresie gospodarczym na niepewną, niewypróbowaną do końca imprezę inż. Saby i wydatkujące na nią miliardowe kredyty! Kolosalne wpływy wielkich kapitalistów w państwie demokracji ludowej wpływy sięgające tak daleko że aż pośrednio ingerujące w pociągnięcia i decyzje samego ministerstwa; przykładów tego rodzaju, dodajmy przykładów nb. wcale nie „wychowawczych" jest w sztuce więcej.

Walka, jaka się toczy na scenie, obraca się wokół zasadniczego problemu: WIARY W CZŁOWIEKA w ogólności, a w szczególności wiary w człowieka twórczego którego reprezentuje inż. Saba. Wiara w człowieka to postęp — niewiara w człowieka to wstecznictwo. Oto siły walczące w utworze, siły jasno i wyraźnie przeciwstawne. Ale to jeszcze nie wszystko: sprawa inżyniera Saby i jego fanatycznej wielbicielki — laborantki Wrońskiej napotyka na opory nie tylko po stronie reakcji uposaciowanej w inż. Prędskim, ale co gorsza napotyka na opory wśród ludzi postępowych (sfery ministerialne). „Nawet wśród ludzi postępu trzeba walczyć o postęp" — krzyczy (zdaje się w akcie trzecim) [illegible]

postępu ze wszystkim uwierzyć skoro zachodzą takie wypadki jak niedwuznaczny sabotaż Birdy w fabryce (w dziale budowy, za którą był odpowiedzialny inż. Prędski), zrobiony w celu zyskania czasu dla prób inżyniera-wynalazcy: pewnie że uczynił to Birda bez wiedzy i bez aprobaty Saby — ale tym wykazał że ponad wszystko chodzi mu o ukochanego inżyniera. Obóz zdecydowanej wyraźnej reakcji, którego przykry ciężar ma w sztuce dźwigać tępawy inż. Prędski jest również potraktowany zgoła niewyraźnie. Cóż to z tym Predskim? Dlaczego autor każe mu się również kochać w laborantce Wrońskiej i przez to osłabia wyraźność jego działania jakby rozgrzeszając to działanie przeciw postępowi, Sabie i fabryce tym, że źródłem tego działania jest zżerający go straszny zawód miłosny (jest zła doradczyni — zazdrość o kobietę)!

Trzeba się było zdecydować i Predskiego postawić wyraźnie, żeby nie mógł być tłumaczony przez widza opatrznie. Pewnym absurdem w tej sztuce jest również fakt wiary inż. Predskiego w dzieło inż. Saby: Predski wierzy w nie bo chce je zniszczyć bo przeciwdziała pracom wynalazcy (posługując się m. in. tak samo jak przedstawiciel tamtego pozytywnego obozu sabotażem).

Wbrew pozorom zwycięstwo inżyniera Saby i jego grupy nie rozwiązuje w sztuce rzeczy najważniejszej — wiary w człowieka, wiary w lepsze ukształtowanie świata. Co prawda to właśnie chce nam wmówić tą czy inną wypowiedź laborantki Wrońskiej, Saby czy Birdy — ale tragiczne pełne naprawdę głębokiej zadumy nad życiem, nad ludzkością, nad losem świata pytania i refleksje załamujących się psychicznie pod wpływem przepracowania asystentów, a zwłaszcza Bogusława Stora — nie otrzymują odpowiedzi; tak samo niewybredny argument: oddanie Predskiego władzom bezpieczeństwa nie przekonywa i nie rozwiązuje konfliktu dramatycznego: toć wszystkie utwory dramatyczne na świecie posiadają swoje konflikty ale nie są te konflikty likwidowane drogą policyjną, bo nie po to pisze się dramaty. Nie rehabilituje się też należycie w sztuce ministerstwo przemysłu — nie do ministerstwa przemysłu należy sympatyczny pełen wyrozumiałości ekspert komisji ministerialnej — rosyjski uczony Bogolubow: to co przeciwko swym nadrzędnym czynnikom siedzącym w ministerstwie nagadał Saba — jest utrzymane do końca i nie znajduje odprawy w końcowych scenach.

Jak forma wewnętrzna tak i forma zewnętrzna dzieła Wirskiego pozostawia wiele do życzenia. Rzecz nie posiada zwartości konstrukcyjnej, niemało jest scen niepotrzebnych statycznych, przeznaczonych na dyskusje dobre w klubie inteligencji pracującej. Niepotrzebną wydaje się być w ogóle postać literata, będąca „piątym kołem u wozu": autor wprowadził ją pewnie dla wypowiadania komentarza, dla wyciągania wniosków (pomoc dla widza nieinteligentnego!).

Jeśli mimo to wszystko, co się wyżej powiedziało o sztuce Wirskiego, chcielibyśmy się dopatrzeć w niej czegoś pozytywnego, to na pewno nie będą to puste deklamacje o sprawach postępu ale — ukazana solidarność społeczna grupy robotniczej budujących się zakładów, solidarność której cementem, jak się to już rzekło, jest postać umiłowanego i dzielnego inżyniera, do którego grupa ta posiada pełne zaufanie, z którym właściwie współtworzy przy wynalazku i w którego obronie dałaby się porąbać (ale niechby inżynier te zakłady rzucił — co by było wtenczas?).

Przedstawienie sosnowieckie Dyrekcja Teatru potraktowała naprawdę pieczołowicie dając sztuce dobrych artystów, którzy włożyli w trudny tekst „chemiczny" niemało wysiłku, oraz dając dobrą oprawę dekoracyjną: ta t. zw. oprawa dekoracyjna wzbudzająca podziw publiczności stanowiła właściwie nie tło, ale istotny element sztuki; wspaniale wyposażone laboratorium chemiczne i maszyny naprawdę kręcące się, urządzenia elektryczne, tablice wyłącznikowe itd., itd. — to wszystko pracowało na korzyść sztuki i przedstawienia. Juliusz Wirski powinien dekoratorowi Wiesławowi Makojnikowi wysłać specjalny adres wdzięczności. Reżyseria Jerzego Merunowicza wydobyła zdaje się ze sztuki co się dało najlepszego, przy czym sam Merunowicz wybił się na czoło całego zespołu artystycznego swą doskonałą grą (Stor — II asystent). Żywe i zindywidualizowane postaci Birdy (Wacław Zastrzeżyński) i inżyniera Saby (Andrzej Szczepkowski) laborantki Wrońskiej (Jadwiga Ochalska) Kadonia (Rudolf Gołębiowski) wypadły zarówno w sztuce jak i na prapremierze dobrze. Źle wypadł inż. Prędski (Jerzy Fitio). Biedny Fitio, któż mu kazał się tak męczyć w niedobranej dlań roli, toć on nie umie być ani reakcyjnym dyrektorem, ani sabotażystą ani kapitalistą, ani tępym. Pozostałe role wykonali zupełnie poprawnie: Rudolf Zbrojewski w roli wiceministra przemysłu, Filip Kuligowski, Kazimierz Lewicki, Piotr Połoński — jako członkowie komisji Zbisław Pelc — w roli literata oraz p. Zygmunt Wilczkowski, Marian Bess i Jan Nawrocki w rolach robotników zakładowych.

ZBYSZKO BEDNORZ.

skrzydła

Dyszał szybko, łapał powietrze, jakby mu tchu brakło. Nachylił się nad winowajcą, jakby chciał go zmiażdżyć wzrokiem. Ten podniósł wzrok do góry, spojrzał, krzyknął przeraźliwie, gwałtownym skokiem wyrwał się z otaczającego go ludzkiego koła, minął je i szalonym pędem ściganego zwierza rwał przed siebie. Zakręcił za ścianą maszynowni...

Gwarna wściekłość wybuchła wśród zebranych. Paru chciało gonić za uciekającym, ale oto Gardoch roztrącił chyboczący się tłum i swymi długimi, potężnymi susami pędził za Fernerem.

Oboje znikli z oczu tłumu, zasłonięci ciemnością i ścianą maszynowni. Ciekawych dalszego biegu wypadków, wysuwających się na stronę, wstrzymali inżynierowie nie pojmujący co się stało. Ktoś od niechcenia wyjaśniał. To były ich własne, robotnicze sprawy. Co władzy do tego. To był inny świat. Do nich należeć mógł Korczak, ale o tym wiedzieli dopiero teraz. Tylko piecowcy znali go już dawniej...

Rakowiecki dał wreszcie spokój wypytywaniom, odkładając wyjaśnienie sprawy na później. Minęły już dwie minuty, od czasu w jakim uznał, że bez większego ryzyka możliwe będzie wejście do hali. Zamierzał właśnie wyznaczyć dziesięciu robotników i sam wraz z nimi udać się na poszukiwanie trupów — co do tego nie miał wątpliwości — dwóch pozostałych członków obsługi maszyn wiatrowych, gdy dobiegło skądś echo dalekiego, wytężonego krzyku. Za chwilę powtórzyło się bliżej.

Na tle magazynów materiałowych majaczyła sylwetka Gardocha. Majster wołał gorączkowo, przyzywając jednocześnie dłonią do siebie.

— Biegnijcie, zobaczcie, czego chce — skinął Rakowiecki na paru ludzi, zdziwiony zachowaniem cenionego przez zarząd huty majstra.

Po chwili dwóch wróciło, dysząc, wołając:

Miszkola znalazł. Tam leży za wagonami i starymi kranami.

Prądem przebiegło po obecnych. Miszkol? — Miszkol przecie pozostał w maszynowni. Skąd się tam znalazł? Czy to nie omyłka? Ale nie, oto już z dala ukazała się grupka ludzi, niosąca kogoś na noszach. Niecierpliwie wybiegli naprzód, by zajrzeć w twarz leżącemu. Tak, to był Miszkol.

Podnieśli go bliżej pod światło latarni i tam złożyli na ziemi.

Gardoch podszedł bliżej.

— Tamten pieron wbił się gdzieś między wagony. Biegłem za nim, aż się potknąłem o coś. Myślałem, że to żelazo, ale nie, coś miękkiego. Patrzę, Miszkol — dziwił się majster wydarzeniu.

Sanitariusz podniósł się z klęczek. Twarz miał uśmiechniętą.

Z nim będzie dobrze. Gaz go tylko zamroczył. Trochę i przyjdzie do siebie. Serce działa normalnie. Pewnie wybiegł razem z tamtymi, w pośpiechu i strachu stracił orientację, wbił się między wagony i zemdlał. Trochę gazu musiał jednak łyknąć...

Dorzucił jeszcze:

— Trzeba go zanieść do samochodu. Pewnie już wrócił ze szpitala...

Radość z powodu cudownego zaiste ocalenia chłopca nie potrafiła rozprószyć w sercach chmurnego, tragicznego sądu, kryjącego się w zrozumieniu bezpotrzebnej najzupełniej ofiary tamtych czterech. I oni też wszyscy byli temu winni...

Ze zwieszonymi głowami, przybici, stali ponurzy, zamyśleni.

Szef działu wielkich pieców znów spojrzał na zegarek. Było pięć po czwartej. Chyba bez obaw można wchodzić do hali.

Wyznaczył ludzi, ostrzegł raz jeszcze, przydzielił latarki elektryczne.

Mizerne snopy światła nie zdołały przebić zwałów panującej w hali ciemności. Oświetlały jedynie najbliższą przestrzeń, rozwiewając się w dali na mdłe, świetlne podmuchy.

Maszynownia stała głucha, ponura. Niesłychana tu nigdy cisza w połączeniu z ciemnością działała na ludzi paraliżująco, onieśmielała, sprawiała, że tulili się blisko do siebie, mówili cicho, prawie szeptem. Podniecenie wprawiało płuca w szybszy oddech, mimo, że starali się go hamować, ostrożnie, lękliwie wciągali powietrze, raz po raz oglądając się w kierunku wejścia.

Przy stopniu, pamiętnym dla przeżyć Korczaka inżynier naczelny skierował część robotników na prawo, sam zaś podążył z pozostałymi na lewą stronę hali.

Przy żadnej z maszyn nie dostrzeżono śladu obecności młodego Ciupki. Błyski latarek śmigały teraz po całej przestrzeni maszynowni, wokół przewodów, gdzie na cemencie chlupotała woda, przy oknach i zapasowych trybach lub tłokach. Kroki szukających coraz prędsze, niecierpliwsze, bardziej nerwowe, rozgłośnym echem dygotały po hali, potężniejąc w odbiciu od wysokich sklepień, nabierając dziwnego, metalicznego wydźwięku, może od zetknięcia się fal głosowych z polerowaną gładko stalową płaszczyzną maszyn wiatrowych.

Głośniejszy okrzyk oznajmił o sukcesie poszukiwania.

Pod drugim oknem od przewodów gazowych, utytłany w błocie wypchniętej z wanien bezpiecznikowych wody, leżał Ciupka. Wpadnięte policzki, głębokie oczodoły oblicza powiększały się od padającego błysku latarki. Usta chłopca kurczowo zaciśnięte, włosy zmoczone z jednej strony lepiły się do czoła. Ciało leżało pokracznie wygięte, przełamane wpół.

Chwilę stali schyleni, przejęci grozą i żalem.

— Taki synek... — wyszeptały cicho czyjeś usta.

— Pewnikiem sztywny już — poddały inne.

Okazało się, że Ciupka nie zesztywniał jeszcze. Bo gdy pod okno to zbliżył się szef wielkich pieców i rozkazał wynieść zagazowanego, ciało chłopca przegięło się przez ręce podnoszących, a głowa gwałtownie pochyliła się ku dołowi.

Z nieśmiałą nadzieją, przyśpieszając kroku, kierowali się ku wyjściu. Czas po temu był już zresztą najwyższy, bo wszyscy nieomal poczęli odczuwać mdłości, w głowach zaś huczało i przelewało się tysiącem uderzeń. Resztki gazu wlokły się po hali.

Okazało się, że chłopiec żyje jeszcze. Serce pracowało ledwo dosłyszalnie. Może organizm był tu bardziej odporny, może powiew świeżego powietrza wpadającego do hali przez otwarte wkrótce po wypadku okno osłabił działanie gazu.

Sanitariusz, podnosząc się z klęczek, zawahał się na moment, ale potem raz jeszcze przechylił się ku twarzy leżącego na noszach. Pokręcił głową.

— Wódka? — szepnął pytająco, niedosłyszalnie dla drugich.

Potrząsając w zadziwieniu głową, wzruszając ramionami pod wrażeniem dokonanego odkrycia, szedł za noszami w stronę swej dyżurki. Biały jego kitel majaczył w mroku, długo jeszcze bielał, potem zatracił kontury, a wreszcie z majaczącej, białej plamy przeszedł w ogólną ciemność.

Wtedy stojący nadal w milczeniu hutnicy wolnym ruchem włożyli czapki.

Inżynier Rakowiecki rozkazał powrót do swoich miejsc pracy.

Ktoś spojrzał na zegarek. Dochodziło w pół do piątej.

Noc stała jeszcze nad hutą złowieszcza, ciemna, ciemniejsza teraz niż kiedykolwiek. Zdawało się jakby wiały nad hutą ogromne czarne skrzydła.

Eugeniusz Paukszta

Wkładka ilustracyjna do „Apokalipsy ks. Barczewskiego"

(por. nr 42 „Odry")



Wśród malowniczych, łagodnych wzgórz pokrytych lasami, opodal pięknych jezior, leży niewielka wieś warmińska Brunswałd. W r. 1894 zjawił się tutaj ks. Walenty Barczewski, który już do końca żywota dni swoje z miejscem tym złączył. Lata działalności brunswałdzkiego proboszcza to lata wytężonej pracy i walki. Gorące, polskie serce tego najwybitniejszego Warmiaka było tej pracy i walki niewyczerpanym źródłem.



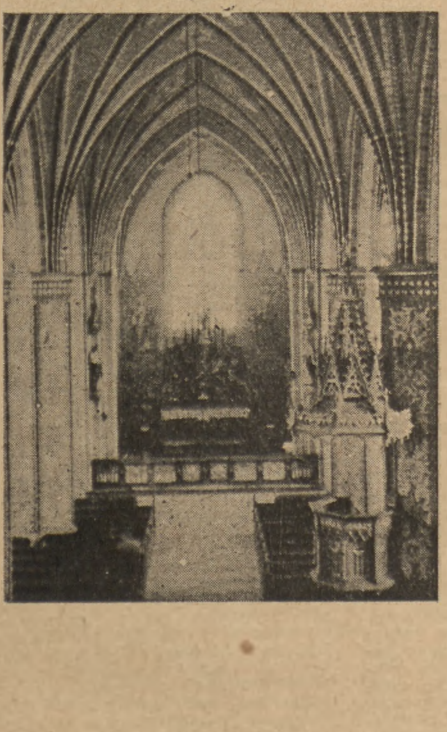
Położony na uboczu, maleńki Brunswałd wsławił się tedy imieniem swego niestrudzonego proboszcza, który po blisko 34 latach pracy i działalności tu w roku 1928 zakończył życie. Tu także na małym cmentarzyku, w cieniu szumiących drzew, spoczął jako jeden z największych Warmiaków i bojowników polskości na naszej Północy.



Wdzięczność tych wszystkich, w których ks. Barczewski rozpalał miłość do polskiej ojczyzny, wyraziła się także w miłości do niego samego. Lud warmiński wystawił mu z groszowych składek kamienny nagrobek z wyrazami wdzięczności za dzieło żywota. On sam w poczuciu spełnionego obowiązku kazał sobie położyć na grobie napis: „Żyłem, bo chciałeś. Umarłem, bo kazałeś. Zbaw, bo możesz".



Wystawiony w roku 1912 w miejscu starego XV-wiecznego, neogotycki kościół brunswałdzki mieści w sobie jeden z najciekawszych zabytków polskości, polichromię H. Zeptera, natchnioną przez ks. Barczewskiego — koronę patriotycznej działalności plebana brunswałdzkiego. Malarz Zepter był Niemcem. Ks. Barczewski musiał uciekać się do nielada sztuczek i forteli, ażeby niemieckiego malarza nakłonić do przedstawienia na malowidłach polskiej treści. Podobno Zepter parokrotnie rzucał pracę, ale ostatecznie dał się pokonać dyplomacji sprytnego proboszcza.



A oto widok wnętrza brunswałdzkiego kościoła. Nad nawą jak ludzka tęsknota wspina się ostrołukami sklepienie, już przez sam styl swej budowy wyrażając pewną symbolikę. W tym to miejscu żarliwy patriota i działacz lokalny, miłośnik spraw ściślejszej ojczyzny, wyśpiewał całą swą wiarę i nadzieję w odrodzenie Polski i połączenie Warmii z Macierzą, jakby paktując z Opatrznością o spełnienie sprawiedliwości społecznej.



W polichromii tej zamknął w skrócie i alegorii wszystkie patriotyczne marzenia i pragnienia duszy. W polach sklepienia znaleźli się najwybitniejsi polscy święci i wymownie zestawione, jakby w błagalną modlitwę, miejsca uświęcone kultem narodu

Św. Jadwiga śląska pomiędzy Chrystusem z katedry wawelskiej i frontonem warmińskiego tumu stanowią mały fragment niezwykłej całości



Św. Kazimierz Królewicz ostentacyjnie rozwinął nuty „Boże coś Polskę", a z tyłu widnieje jedno z proroctw ks. Barczewskiego. Św. Andrzej Bobola, kanonizowany w kościele brunswałdzkim na 35 lat przed wyniesieniem na ołtarze w Rzymie, asystuje w całopaleniu carskich knutów. Nie widać niestety triumfującego białego orła, ani spadających w płomieniach orłów zaborczych. O triumfującym polskim znaku przepowiedział ks. Barczewski: „Ten orzeł przetrwa i mnie i was, i będzie jeszcze królował nad Warmią".

Wśród czasopism

Zagadnienia naszej literatury marynistycznej dyskutowane są ostatnio często i obszernie. Dyskusje te odbywają się jeszcze na peryferiach naszej „wielkiej" prasy literackiej, w pismach, dla których problem ten siłą rzeczy jest najbliższy. Poza cyklem sylwetek marynistów w „Odrze" wspominaliśmy już tutaj o troskach literacko-marynistycznych *„Tygodnika Wybrzeża"*. Dziś kolej na *Arkonę*, która ukazując się rzadko (przeciętnie numery podwójne co dwa miesiące) tym bardziej zasługuje na notowania. Zanim jednak zajmiemy się jednym z artykułów ostatniego numeru tego pisma, niech wolno mi będzie dla historycznej ścisłości przypomnieć, że z owych „wielkich" czy „czołowych" tygodników literackich *„Nowiny Literackie"* były tym pismem, które w początkowym okresie swej pracy polskiej literaturze morskiej poświęciły sporo miejsca i krytycznej uwagi.

Wzorowe chyba pod każdym względem pismo godne określenia jako „regionalne" w całkowicie pozytywnym tego słowa znaczeniu, *„Arkona"* w swym bogatym numerze 7/9 przynosi niewielki artykuł *Mariana Brandysa* „Najmłodsza marynistka (o pewnym konkursie)". Autor artykułu omawia krótko trzy pozycje konkursu literackiego Wojew. Rady Sztuki i Kultury Artystycznej w Gdańsku. Na konkursie tym nie przyznano wprawdzie nagrody pierwszej, ale Brandys wskazuje na dwie drugie nagrody równorzędne przyznane *Janowi Panasewiczowi* z Bydgoszczy za nowelę z życia rybaków nadmorskich p. t. „Złodziej" oraz *Andrzejowi Braunowi* za nowelę „Krokodyl", mającą za temat walkę radzieckiego trałowca z bombowcami i ścigaczami niemieckimi. Nazwisko Andrzeja Brauna znane jest już bliżej z dobrych wierszy ogłaszanych po czasopismach i zapowiedzianych w tomie. Jan Panasewicz jest autorem nieznanym. Przynajmniej nieznanym szerzej, gdyż może w rejonie pomorskim nazwisko to już coś mówi. Brandys zwracając uwagę na tych dwóch laureatów konkursu przytacza fragmenty ich utworów. Czyni to słusznie, gdyż urywki te potwierdzają w całej pełni obowiązek zainteresowania się marynistyką nagrodzonych autorów. Znacznie jednak ciekawszy jest jeszcze ciąg dalszy artykułu Mariana Brandysa. Oto jego fragment: „Mimo że nowele „Złodziej" i „Krokodyl" zostały zakwalifikowane najwyżej z prac konkursowych, najbardziej sensacyjną pozycją konkursu a zarazem jego najcenniejszą zdobyczą okazał się inny utwór, a mianowicie nagrodzone trzecią nagrodą opowiadanie „Na stoczni". Sensacyjność nagrody polega na tym, że zdobywca jej, 26-letni *Franciszek Wiśniarowski* jest zwykłym robotnikiem, ślusarzem Stoczni Gdańskiej. Mało tego: Wiśniarowski jest robotnikiem, który w tegorocznym wyścigu pracy osiągnął najwyższą normę pracy ze wszystkich stoczniowców polskich". Przytoczony przez Mariana Brandysa fragment opowiadania Wiśniarowskiego wskazuje rzeczywiście na niewątpliwy, samorodny talent pisarski. Jest to chyba talent czerpiący wyłącznie z własnego, bezpośredniego doświadczenia, może bez dużej twórczej inwencji, ale talent, któremu należy się uwaga i pomoc.

Brandys pisze o tych trzech pozycjach gdańskiego konkursu marynistycznego w nadziei obudzenia pewnego optymizmu w okresie, gdy na tematy literackie wypowiada się u nas tyle sądów pesymistycznych. Optymizm obudzony jego artykułem jest oczywiście maleńki, ale chyba poważniejszym rezultatem jego artykułu powinno być zainteresowanie się pracą nagrodzonych w Gdańsku utworów. Być może, że fundatorzy nagród i orgnizatorzy konkursu wyciągnęli już z faktu przyznania tym autorom nagród odpowiednie wnioski. Jeśli nie, należy się tego domagać, należy obudzić zainteresowanie autorami i poza Gdańskiem. W roku bieżącym zapoczątkowane zostały na małą skalę podróże marynistyczne pisarzy polskich, podróże odbywane nie w warunkach turystycznych, lecz na statkach pracujących w marynarce handlowej i rybackich (jedną z tych pierwszych podróży odbył *Tadeusz Kwiatkowski*, który reportaż z niej drukował w szeregu odcinków *„Dziennika Polskiego"*). Gdańscy laureaci literaccy zasłużyli chyba na to, by prócz nagród umożliwiono im chociaż tą drogą dalsze studium tematu, który przeszedł już z pozytywnym rezultatem próbę ich pióra.

A propos *„Arkony"* Gdyby kogoś zniechęcał epitet, którym pismo to zostało powyżej obdarzone, epitet „pismo regionalne", trzeba zwrócić uwagę, że na jej łamach obok tematów regionalnych pełne uprawnienia posiadają również tematy szersze, związane ze sprawami nie należącymi do regionu. Z ciekawszych tego rodzaju pozycji omawianego numeru wymienić trzeba uwagi K. W. Zawodzińskiego „Wielka publicystyka, wielki reportaż", Stefana Lichańskiego artykuł „Krytycy i recenzenci", „Artura Hutnikiewicza „W sprawach nauki o literaturze". Warto jeszcze nadmienić, że *„Arkona"* zawsze przynosi obfity materiał poetycki.

Piękną kolumnę wrocławską przyniosło w ostatnim (45) numerze *„Odrodzenie"*. Ukazała się ona z okazji niezwykłej publikacji. Jest nią nowy tom poetyckiej „Biblioteki Jana Kuglina" przynoszący „Stychy wrocławskie", wiersze literatów wrocławskich z XVII wieku opracowane tekstowo i krytycznie przez Juliana Lewańskiego i Aleksandra Rombowskiego, a graficznie przez mistrza sztuki drukarskiej (tu tytułu tego można użyć w jak najpełniejszym i najszlachetniejszym znaczeniu) Jana Kuglina. Owa kolumna wrocławska *„Odrodzenia"* przynosi artykuły wszystkich trzech współtwórców nowego tomu biblioteki kuglinowskiej. Druk Kuglina wydany w nakładzie 120 egzemplarzy nie dotrze poza wąski krąg bibliofilów. Przeznaczenie jego obejmuje niewielu specjalistów zagadnienia. Dlatego też spopularyzowanie polskich siedemnastowiecznych tradycji literackich Wrocławia w *„Odrodzeniu"* witamy z tym większą satysfakcją. Bibliofile będą zabiegali o egzemplarze „Stychów wrocławskich", przeciętnemu czytelnikowi wystarczy dobrze opracowany materiał w *„Odrodzeniu"*, rzucający ciekawe światło na miasto „znowu nasze", jakby powiedział Mickiewicz. (ki)

Krótkie spięcia

Koński temat

Wprawdzie wyścigi konne, to rzecz bardzo odległa od zainteresowań językowych mimo to jednak, gdy się jest w poszukiwaniu tematu, to i w tych wyścigach można coś odpowiedniego znaleźć.

Każdy przyzna, że nie ma nic bardziej wspaniałego, niż nazwy czy właściwie imiona końskie. Ludzie dają tutaj upust swej fantazji i nadają koniom — chociaż koniom jest to zasadniczo i nie zasadniczo zupełnie obojętne — nazwy pełne wdzięku, polotu, egzotyki, a nawet i wymyślności. Zwłaszcza, gdy chodzi o konie rasowe i wyścigowe, (no i wojskowe, jako że w wojsku wszystko, a więc i koń musi mieć swoje miano) bo naturalnie poczciwe robocze siwki i kasztanki muszą zadowolić się nazwą „stary", czy „stara" (z przydatkiem tradycyjnego „wio"). Chyba, że właściciel takiej czy innej popularnie zwanej chabety ma fantazję i uważa, iż jego koń też powinien się odróżniać od swego końskiego otoczenia jakimś specjalnym imieniem.

Bywają więc miana takie i owakie. Miana, które pachną dalekimi lądami i morzami, miana mitologiczne, miana, na których możnaby się uczyć geografii i historii, miana botaniczne i zoologiczne, miana kalendarzowe, czyli miana, wzięte ze spisu imion w kalendarzu, miana, przypominające nazwy najwykwintniejszych perfum paryskich, miana, które każą nam myśleć, iż nasza znajomość obcych języków jest mimo wszystko niedostateczna, miana, co do których człowiek ma takie wątpliwości, iż musi ich znaczenia szukać w zagranicznych encyklopediach, miana proste, miana dziwaczne, miana skomplikowane, miana nudne, miana interesujące — no jednym słowem miana wszelkiego rodzaju, gatunku oraz kalibru.

Co do tych mian, to rzecz prosta nie można mieć żadnych zastrzeżeń, mimo, że nic nam absolutnie nie tłumaczy, dlaczego jeden koń wyścigowy nazywa się „Girlanda", drugi „Santa Cruz", trzeci „Sobiepan II", a czwarty „Bel ami".

Godzimy się z tym i chyba tylko wtedy, gdy jesteśmy na wyścigach na tyle lekkomyślni, że stawiamy na konia tylko dlatego, iż jego nazwa nam się podoba — to zlekka klniemy na jakąś „Andaluzję" czy „Happy Boya" albo „Charmeuse".

Z jednym tylko nie możemy się pogodzić, jeżeli po dziś dzień biegają na wyścigach konie, noszące nazwy niemieckie, jak na przykład to zanotowaliśmy w czasie gonitw w ostatnią niedzielę października — „Cäsar", „Cleverhof", „Düna".

Ostatecznie koń o to się zupełnie nie obrazi, gdy będzie się nazywał zamiast „Cäsar" — „Cezar", albo zamiast „Düna" — „Dźwina", nie mówiąc już o „Cleverhofie", którego możnaby przechrzcić na co żywnie się komu podoba.

Dobrze by więc było, aby stajnie wyścigowe i nad tym pomyślały i nie przywiązywały zbytniej wagi do tego, że taki czy inny koń jest pochodzenia niemieckiego i że posiada jakąś tam swoją metrykę. Ludzie zmieniają nazwiska, dlaczegoż konie mają być upośledzone i nosić całe życie miano, które nam się nie podoba?

W imieniu więc wszystkich koni protestujemy przeciwko „Cäsarom", „Dunom" i „Cleverhofom".

NIEJAKI X

W następnym numerze ukażą się m. in. następujące artykuły: Stanisława Telegi „W cieniu legendy o masztowej sośnie", Floriana Miedzińskiego „Uwaga, Richelieu straszy bez przerwy", Adama Galosa artykuł o wędrówkach polskich robotników na Śląsk — i inne.

SPROSTOWANIE

W części egzemplarzy poprzedniego 45 numeru „Odry" zamieniono na str. 4-tej pod dwiema pierwszymi reprodukcjami z cyklu „Sztuka na Śląsku Cieszyńskim" podpisy. Pod reprodukcją, przedstawiającą grupę, powinien być podpis: Henryk Nitra „Pastorałka", a pod reprodukcją przedstawiającą człowieka ze złożonymi do modlitwy rękami: Jan Wałach „Panem nostrum cotidianum".

Teatr w Świdnicy



Teatr miasta Świdnicy wystąpił z nową premierą, tym razem z „Obroną Ksantypy" L. H. Morstina. Sztukę reżyserował Wiktor Biegański. Na zdjęciu Alina Dzierzbicka (Mirryna) i Tadeusz Czechowski (Charmides).

Realizm społeczny

(Dokończenie ze strony 2)

kokietki. Głafira ma do swojej podłości stosunek jasny. Ani na chwilę nie szuka w samej sobie ani u innych usprawiedliwienia. W swoim dążeniu jest konkretna i wolna. Ten, kogo oszukuje — to marny głupiec i tylko pieniądze dają mu wyższość nad nią. Czy to jest sprawiedliwe?! I gdy sztuka Ostrowskiego dobiega do punktu, w którym okazuje się, że wina leży właściwie po stronie tych, co posiadają pieniądze i bogactwo, jesteśmy już psychicznie przygotowani do sceny uwodzenia. Głafira nie tylko nie wywołuje w nas wstrętu, ale zachwyca rozumem, inteligencją i budzi nawet współczucie: jaka szkoda takiej kobiety dla tego ograniczonego bogacza! Pod względem aktorskim scena uwodzenia to arcydzieło. To koronkowa robota dialektyki owcy i wilka w jednej osobie: dziewczyny wkładającej na przemian to maskę mniszki, to obnażającej się wyrafinowanym gestem kokietki. Została użyta cała przebogata i jakże pomysłowa gama kobiecych wybiegów, ażeby się wreszcie znaleźć na kolanach bogatego Łyniajewa. Ale potem Głafira każe sobie zapłacić za wszystko. Kiwnięcie jej palca będzie dla jej ofiar rozkazem.

Zierkałowa gra swoją rolę świadomie i konsekwentnie. Jej Głafira to postać skomplikowana, rozwijająca się i przekształcająca w oczach widzów. Biedna dziewczyna w habicie mniszki, wyrafinowana kokietka, tryumfująca bogata dama, traktująca swego męża jako dodatek niezbędny do bogactwa, to etapy jednej myśli: świadomie cynicznego stosunku do ówczesnego zwierzęcego układu społecznego.

Zierkałowa należy do młodego pokolenia Teatru Małego. Drugim wybitnym przedstawicielem tego pokolenia jest artysta Iljiński. Rolę Apollona gra on bez krzty litości dla „bohatera". W przeciwieństwie do Zierkałowej nie obdarzył go ani jednym rysem, który wzbudziłby nasze sympatie. Pozbawił go nawet zewnętrznych walorów byłego oficera. Ten wiecznie pijany drapieżnik właściwie nie jest już szkodliwy. Zadowala się byle padliną. Dla niego wyciągnąć parę rubli od młodej, bogatej wdowy Kupawinej (którą mu przecież swatają!), to taka sama zdobycz, jak wyłudzić od służącego kieliszek wódki. Dostojna jego ciotka, Murzawiecka, uważa, że spadł on na dno nie z powodu braku poczucia godności, zupełnej atrofii moralnej, ale właśnie dlatego, że zęby sobie stępił. To degenerat — przedstawiciel wyradzającej się arystokracji. Ale warstwa ta nie chce zginąć bez walki. Jedni, jak Murzawiecka, uciekają się do fałszowania papierów, a drudzy, jak Bierkutow, przestawiają się na nowe tory i zajmują się operacjami handlowymi.

Przypomina się inna kreacja w innym teatrze, mianowicie Pribytkow, bogaty kupiec w sztuce Ostrowskiego „Ostatnia ofiara" w ujęciu artysty Mchatu Moskwina. Zwykle Pribytkow na scenie to człowiek bez skrupułów, brutalny, kupujący wszystko i wszystkich, to typ obleśnego starego bogacza. Moskwin, nie pozbawiając go ujemnych rysów, stuszował je, wydobył jego urok osobisty, stworzył postać pełną godności, której dostępne są wzniosłe uczucia, dumnie ukrywającą swą nieszczęśliwą miłość. Pogłębiona w ten sposób rola Pribytkowa czyni zrozumiałym postępowanie pięknej i szlachetnej Tuginej oddającej mu swą rękę. To do pewnego stopnia usprawiedliwia jej krok, ocalając w naszych oczach jej czystość moralną i psychiczną. Taka interpretacja wynika z ducha Mchatu: dążenie do wydobycia z duszy ludzkiej maksimum piękna i szlachetności. Jest to konsekwencja mchatowskiego realizmu psychologicznego. Już na przykładzie Głafiry, jako też Apollona Teatr Mały zademonstrował swą interpretację rzeczywistości — swój realizm społeczny. Postępowanie osób określają warunki i dlatego niepotrzebne jest tuszowanie złych, ani podkreślanie dobrych stron bohaterów. Co do wad, to się je potępia, jeśli nie w samym człowieku (Głafira), to ich przyczynę i źródło. Ideologia ta najpełniej dochodzi do głosu u Jabłoczkinej, grającej głównego wilka w sztuce Ostrowskiego — Murzawiecką.

Murzawiecka jest niejako symbolem ginącego świata arystokracji. Wbrew pozorom, mimo wielkopańskiego gestu i głośnego nazwiska rodowego, wdziera się do domu Murzawieckiej coraz bezwzględniej... nędza. Nie tylko przed tłumem dłużników, ale nawet przed własnym lokajem trzeba ukryć fakt pustej kiesy. Ale Murzawiecka jest dumna i nie chce nawet przed samą sobą przyznać się do bankructwa. Jest już stara, ale uważa, że ma dość siły, żeby walczyć. Jej pozorna świętobliwość nie przeszkodzi jej zawrzeć sojuszu z fałszerzem weksli. Jeśli nie uda się ożenić bratanka Apollona z bogatą wdową Kupawiną, to trzeba wydostać od niej pieniądze fałszerstwem lub szantażem, Ale na owcę Kupawinę zastawia sieci inny wilk, Bierkutow. On demaskuje Murzawiecką. I nagle w obliczu niebezpieczeństwa, w obawie przed odpowiedzialnością i karą dumna arystokratka wykazuje całą swoją nicość Przed nami siedzi tchórz, drżący o swe życie. Murzawiecka okazuje się, mimo pozorów wielkości, przestępcą małego kalibru, tak samo jak Apollon. Arystokracja nie umie już popełniać nawet wielkich przestępstw. Jabłoczkina, tak samo jak Iljiński, daje obraz bezwzględnie ujemny, godny potępienia. Jest to wyrok zwycięskiej, naprzód idącej historii. Bez sentymentu i łezki nad ginącem światem.

Jabłoczkinę wiąże z teatrem sześćdziesiąt bez mała lat nieprzerwanej pracy. Na scenie przeżyła ona parę pokoleń teatralnych. I jeśli mówi się o tradycji teatru, to ona jest jej żywym wcieleniem, kontynuatorką Fiedotowej i Jermołowej. Tak samo jak dzisiejszy artystyczny kierownik teatru Sadowski (potomek słynnej „dynastii" Sadowskich), pochodzi ona z rodziny teatralnej: jej ojciec był reżyserem Aleksandryńskiego teatru w Petersburgu, a matka artystką, i był czas, kiedy matka i córka grały razem w jednym teatrze. Kiedy w 1937 r. Jabłoczkina święciła swoje 50-lecie pracy scenicznej, mówiono o niej jako o wyjątkowej artystce, godnie pielęgnującej tradycje Szczepkina i Jużyna, ale nie mniej podkreślano jej zasługi na polu pracy społecznej, jej związek ze współczesną rzeczywistością. I marzeniem aktorki, która zagrała w życiu ponad 300 ról tragicznych, komediowych, bohaterskich i charakterystycznych z repertuaru klasycznego i nowoczesnego, jest móc pokazać we współczesnej sztuce prawdziwy obraz nowej kobiety rosyjskiej, budującej socjalizm. „Wychowana na bohaterskiej twórczości Jermołowej, Leńskiego, Jużyna zawsze dążyłam do klasycznego repertuaru. Teraz marzę o sztuce współczesnej — życie sowieckie jest przepełnione nie spotykanym nigdzie heroizmem, który winien dostarczyć materiału dla twórczości dramatycznej... Wtedy teatr będzie mógł pokazać na scenie obrazy współczesnych bohaterów sowieckich i w ten sposób przynajmniej odpłaci wielkim budowniczym socjalizmu, którzy nie szczędzą swego życia, swego zapału, swego geniuszu, ażeby uczynić ludzkość szczęśliwą..."

Cytata ta tłumaczy nie tylko stosunek artystki do swej pracy. Tłumaczy też jak głęboki jest związek Małego Teatru z życiem i najlepiej świadczy o jego realiźmie społecznym.

Julian Stryjkowski

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp Wydawn. „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08 R - 60508